

**KWA
DRY
GA5**

**CZASOPIS
MO LITE
RACKIE**

**75
G R**



T r e ś ć

- Konstanty J. Galczyński
 Wacław Nałkowski.
 Archiskamandryta
 Leonard Podhorski - Okolów.
 Stanisław Ciesielczuk.
 Tadeusz Horzelski.
 Mieczysław Bibrowski.
 Odpowiedzi na ankietę, przeprowadzoną przez redakcję „Kwadrygi“ w sprawie Międzynarodowego Syndykatu Prasy Literackiej: (Henryk Rygier, prof. dr. O. Halecki, Juliusz Kaden-Bandrowski, Dr. Stanisław Vincenz, Barbarus, Michał Heilperin, Tadeusz Peiper i Marjan Piechal).
 Nina Rydzewska:
 Stanisław Ryszard Dobrowolski:
 Stanisław Ryszard Dobrowolski:
 Nina Rydzewska:
 Jan Ostaszewski:
 Stefan Flukowski:
 Konstanty J. Galczyński:
 k. i. g.
 Stanisław Ryszard Dobrowolski:
 E. Szem:
 Rysz.:
 K. J. Galczyński:
 Babunia z Łodzi:
- Zareczyzny Johna Keatsa.
 O ludziach i ideach.
 Na „Zwrotnicy“ sztuki.
 Październik.
 Noc.
 Partja tenisa.
 O Międzynarodowy Syndykat Prasy Literackiej.
 Wesola pieśń o Gdyni
 Herezja.
 Pacyfistom.
 ...I odpuść nam nasze winy..
 Rubikon.
 Musiny zdobyć wzajemność jaskólek..
 Zdolni ajenci literaccy poszukiwani.
 Śmierć Porfirjona Osielka.
 „Kamień“ Czechowicza.
 Żywa legenda.
 La danse macabre.
 Nowe formy sztuki.
 Hypermambrenocentrovicesapterodaktylomanio
 hipolitoapudankylochondromorfizm, czyli rzecz o
 Karolu Irzykowskim.
 Małe wiadomości literackie.
 Bajeczka o Juljanie Turwimie.

 PRENUMERATA KWARTALNIE 2 ZŁ.

 REDAKCJA: JERZY HORZELSKI I JAN J. FELDMAN.

 WYDAWCA: ZA GRUPĘ POETYCKĄ „KWADRYGA“

 JERZY HORZELSKI.

 ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA,

 CHŁODNA 6 m. 6. TEL. 286-96. KONTO CZEKOWE P. K. O. 18180.

 REDAKTOR PRZYJMUJE W SOBOTY GODZ. 14 — 17.

 RĘKOPISÓW NIEZAMÓWIONYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

Druk. „Stoleczna“, G. Kryzel. Warszawa, Wolska 16, tel. 88-67.

KWADRYGA

KONSTANTY J. GAŁCZYŃSKI.

Zaręczyny Johna Keatsa.

(Komedja.)

Dąb starej Anglii jest złoty, kiedy rośń wali piorun.
Teraz jest biało: cisza zimowego wieczoru.
Miłość jest dębem złotym, spokój jest ninie.
John rzuca naręcza drem, aby było widno w kominie.
Z pokoju, co się jak niebo otwiera, zaraz przybędzie Fanny,
siądzie obok i na licach mu się rozplynie uśmiechem nieustannym.
John, nie bądź głupi, czemu robisz tak głupie miny,
nie narzekaj na narzeczoną, dziś troje zaręczyny.
Obrus będzie biały i mocny i na obrusie wino,
hej, głupi John, pocałujże się ze swoją piękną dziewczyną.
Jak ty, na oko spokojna, wewnątrz jest rzeką wrzącą,
dłonie — wachlarze wachlują gwiazdy, którym już nazbyt gorąco.
Ach, jak ten ogień trzaska i jak ogrzewa mile,
może w kominie stary Willy ucieszną gra krotofilę.
Dość tego, dzieci najdroższe, przejdźcie teraz do holu:
stoły się uginają i muzykanci swawolą,
ciotki z twarzami aniołów przelatują ponad tortami —
my tortu jeść nie będziemy, my się będziemy żywić ustami.
A kiedy wszyscy pójdą, to w wielkim, ponurym holu
usta Johna i Fanny, jak zwierzęta się rozswawolą;
usta z ustami złączone, z dłońmi splecione dłonie.
Lepsi, Goethe, od Hermana i Dorotei, kiedy tak siedzą na tronie.
Ona jest Niebem rozlewem, on zasię Oceanem;
ona Panią w atlasach, a on przy mieczu Panem.
Oto koniec komedji. Aktorzy, się pośpieszajcie,
tudzież dzimnych grymasów licom swym przydawajcie,
bo brawa jeszcze gotowe buchnąć przed sztuki końcem.
Cyt... świt... na szybach baran... w szyby gołąb złocisty... małe... słodkie...
słońce.

O ludziach i ideach.

Artykuł niniejszy, jest wyjęty z drugiego (niewydanego) tomu szkiców i krytyk psychospołecznych Wacława Nałkowskiego p. t. „Jednostka i ogół”. Rozdział, noszący zachowany tu przez nas tytuł „O ludziach i ideach”, składa się przeważnie z drobnych notatek i impresyj i zawiera przeżycia i przemyślenia znakomitego uczonego i świetnego pisarza społecznego z okresu reakcji po roku 1905-ym

Różne katarynki, zarówno domowe, jak publiczne, ciągle nam trąkają: „należy budować, nie burzyć; należy kochać, nie nienawidzić.” Ależ, na to, aby można było zbudować coś nowego, to znaczy, aby mógł powstać nowy ustrój, który wytworzy nowy światopogląd, nową moralność i t. d., trzeba naprzód myślą krytyczną wstrząsnąć ustrój dawny, dawny światopogląd, dawną moralność; ażeby go zaś zburzyć trzeba nietylko dobrze go zrozumieć, ale jego zło silnie odczuć, a zatem go silnie znienawidzić. Myśl nowej budowy, nowy ideał zarysowywa się w umysłach twórczych zwykle negatywnie, jako przeciwstawienie dawnego; jego rysy, jego cechy pozytywne, jego organizacja występuje w początkach mglisto, utopiśnie, nawet śmiesznie, (np. „budownictwo” Tółstoja).

Czyż nie burzycielami były nietylko takie osławione, znienawidzone przez „budowniczych” twarde duchy, jak Byron, Heine, a zwłaszcza Nietzsche, ale nawet znacznie miększe, bardziej tolerowane, jak Szyller („Zbójcy”), lub zrównoważone, jak Goethe (1 część „Fausta”). A tak przez nas wszystkich ukochany (zresztą po ulukrowaniu i ulegalizowaniu) Mickiewicz, czyż nie był jednym z największych, najbezwzględniejszych burzycieli? Czyż nie wytrącał „z posad bryły świata”, czy nie wysadzał ziemi, jak Ordon reduty”, czyż nie „burzył jak Samson gmachu całego”. Czyż nie brał w obronę „dzieła zniszczenia” przed „dziełem tworzenia”, czyż nie czuł się „dumnym” z tego, że „tyle głów hydry jednym ściał zamachem”, i t. d.?

Nie da się więc zaprzeczyć, że wielkie indywidualności twórcze to są burzyciele — burzyciele tych tam, które stoją na drodze potokowi ludzkości; „budowanie” zaś, kształtowanie łożyska to już rzecz wezbranego myślnego potoku, zadanie uświadomionych mas.

Zaprawdę więc powiadam wam: starajcie się o burzenie głupstwa i zła, a wszystko „budowa” będzie wam przydana.

Ludzie przywykli od wieków niewolniczo widzieć piękno w spokoju — w spokoju „majestatycznym”; w spokoju „królewskim”, w spokoju „arystokratycznym”. Jest to estetyka analogiczna do indo-chińskiej estetyki — czarnych zębów.

Spokój (jak i czarne zęby w Indochinach) posiadają ludzie uprzywilejowani, dobrze obwarowani, zasobni, cielesni, bezduszni.

Spokojnie gra miljoner — rabuś, bo to, co by mógł przegrać, jest szkodą znikomą wobec posiadanych przez niego bogactw, w których przytem niema jego krwi własnej, jest tylko nic niekosztująca cudza.

Spokojnie walczy atleta — wół, który ufa w wielką przewagę ciężaru swojego cielska.

Spokojnie polemizuje literat — prostytut, hojnie subwencjonowany, nie mający żadnych przekonań, nie dążący do żadnych ideałów.

Spokojnie walczy agent policyjny z więźniem politycznym, zakutym w kajdany.

Spokojnie odpiera prokurator, żądający kary śmierci, gorący słowa obrońcy.

Spokojnie „walczy” wojsko — automat, uzbrojone w działa, z żywym bezbronnym ludem, wołającym rozpaczliwie: powietrza, chleba!

Ale gdy wewnętrzne pierwastki duchowe człowieka występują do walki z przewagą zewnętrzną, cielesną, brutalną; gdy jednostka, czy garstka ludzi wyższych, naprzód wybiegłych, występuje do walki z uprzywilejowaną, ciemną, obłudną, zwierzęcą masą, aby przez ofiarne zwycięstwo nad nią porwać ludzkość ku wyżynom, wtedy ta garstka musi drobność swej masy zrównoważyć szalonym porywem, zastąpić furją.

Na miejsce wstecznej, martwej estetyki spokoju stawiamy przyszłościową, żywą estetykę furji.

Zaprawdę więc, powiadam wam, nie bądźcie spokojni, jako bestje — bądźcie wściekli, jako ludzie.

Na „Zwrotnicy” sztuki.

W maju 1922 r., a więc już w kilka lat po wojnie ukazało się w Krakowie nowe czasopismo artystyczne p. t. „Zwrotnica”. Była to zarazem i grupa literacko-plastyczna, dążąca ze szczególną świadomością ku wytworzeniu nowej formy przez równoczesne i równorzędne rozwijanie jej teoretyczne i praktyczne. Zresztą, jeśli chodzi o czasopismo owo, było ono przeważnie poświęcone teorii, praktyka — to tomiki poezji wydawane pod firmą „Zwrotnica”. Jej redaktor Tadeusz Peiper, powróciwszy do kraju po długim pobycie zagranicą, mając łącz-

ność z całym szeregiem wybitnych artystów zachodu stał się sp̄iritus movens całej grupy.

Odtąd stale na każdej prawie stronie, poczynwszy od tytułu będzie się akcentować, że „Zwrotem ku teraz pragnie być „Zwrotnica”. Ona reprezentuje nową sztukę, która czerpie środki do życia z rozfalowanego morza teraźniejszego pędu cywilizacji. Oblicze „Zwrotnicy” patrzy z natężeniem w miasto, masę, maszynę te trzy tezy aktualności. Ona pomija wszystko, jest tylko entuzjastką świata cywilizacji nałożonego nakształt plastra na

przyrodę. Jest ona świadomością i racjonalizmem jeżeli nie racjonalizacją.

W nr. 9 pisze Przybóś: „Kult przyrody jest zabytkiem barbarzyństwa. Natura jest nierozumną i mechaniczną wytwórną zdarzeń, których nieludzkość opanować może jedynie świadoma wola. Przyroda może być albo sługą kultury, wznoszonej przez człowieka, albo bóstwem pożerającym człowieka. Peiper w odczytaniu swoim p. t. „Nowe usta” wypowiedział się przeciwko poezji ludowej wogóle jako podstawie dla twórczości artysty. Wiąże się to najściślej z tem, o

czem pisze Przybóś. Wszak ludowość jest związana jak najbardziej z przyrodą, na której łonie powstała, z niej czerpie soki, swój wyraz, swoją odrębność. W praktyce starają się poeci Zwrotnicy ściśle się stosować do swego programu tylko, być może, zapominają o jednym; mianowicie o tem, co jakiś francuz ujął w lapidarne powiedzenie, „że miasta leżą na wsi”. Być może, że maszyny są piękne i to jest pewne, ale jabłko jest też godną podziwu maszyną, której doskonałości — płodności — nigdy nie zgłębiemy. Ale głównie chodzi o celowość — wiemy — cho-

LEONARD PODHORSKI - OKOŁÓW.

STANISŁAW CIESIELCZUK.

P a ź d z i e r n i k .

*Jak migot miecza, echo zmierzchłych lat
W altany chłodzie słońce się zabląka,
Ostatni lata stygnącego ślad,
Co lśni, jak smutek — smuci, jak rozłąka,*

*I gasnie, ginie w pajęczynie chmur,
Mętnieje przestwór, posępnieją dale,
I dni się dłużą, jak cmentarny mur,
I serca żywe bić już nie chcą wcale.*

*I nic. I sine chłody wodnych szyb,
I wianie os, i wiatru osowiałość,
I lip wysoko kołysanych skrzyp,
I gwary wron. I coś, co się rozchwiało,*

*Co tka wśród traw, sączących cierpką woń,
I w liściach, z klonu zlatujących na nie,
W tych liściach, z których każdy jest jak dłoń,
Jak dłoń wyciągnięta — na pożegnanie.*

TADEUSZ HORZELSKI.

P a r t j a t e n i s a .

*Monotonnie jęczące rakiety
w chyżych rzutach do rąk nam przyrosły.
odgarniamy milczące powietrze
białostruną rakieta, jak wiosłem.*

*Po boisku biegamy, lub zagnała
w skoku pięknym tuż nad ziemią zawisli
odbijamy, jak światło w zwierciadłach
piłki białe, a szybkie, jak myśli.*

*Ciosy pilek przygważdzamy do ziemi,
stóp tupotem łamiemy przestrzeń,
roztętnione radością serce
zamykamy w mięśniach, jak w kleszczach.*

N o c .

*Ty, nocy wonna — ty, nocy nieskalana,
Drzewami wzwyż — gwiazdami wdół misząca!
Tyś w sercu mem — błękitna żywa rana,
Tyś czysty sen, sączący sok miesiąca.*

*Na dachu siadł bielisty światła gołąb,
Przez szpary drzew różane złoto cieknie.
Dwie drzące gwiazdy śpiewają nad stodołą,
Jak skrzypce skrzeń, jak dwie migotu fletnie.*

*A lazur lśni — i śnieżą się promienie,
Tchnąc niby maj, niby dziewczęce włosy.
Ma radość jest — miłością i cierpieniem,
Me życie jest — jak wielki ból radosny.*

*Niech z duszy las wygląda, w niebo grając,
Niech cały świat i bezmiar w sobie zmieszczę!
Boli mnie noc, jej blaski we mnie drgają.
A lazur lśni. Zawrotnie pachnie przestrzeń!*

*Sine niebo w gorączce majaczy
— biegamy, raketami sięgamy błękitu,
aż powietrze, jak rtec drży i skacze,
aż w nas bije wichurą zachmytu.*

*— Cóż nam znaczą powietrzne szlaki,
lub zwycięzkie, karkolomne podróże,
my ślizgamy się po wietrze, jak ptaki,
prężnym skokiem wytryskamy ku górze.*

*W nieustannym drapieżnym wysiłku
czujni, biegniem do wciąż nowej mety,
aż nas w niebo wystrzela, jak piłkę
od olbrzymiej odbitą rakiety.*

dzi o to, aby był ten gatunek a nie inny, bo taki jest potrzebny. A moment aktualności, wycucia chwili tkwi w wypełnieniu wszelkich świadomych pierwiastków ludowych i narodowych z poezji: „Zwrotnicy“, a jeśli: chodzi o społeczne, to te się objawiają przeważnie w chęci budowania, tworzenia — żeby to nazwać może niezbyt ściśle, ale zato charakterystycznie — w chęci budowania np. domów mieszkalnych. I tutaj spleta się, wiąże z pewnym kierunkiem kulturalnym, który grupa „Zwrotnicy“ usilnie zwalcza. Jest nim romantyzm.

Teoria omawianej grupy dążyła wyraźnie do eliminacji i bezpośredniości uczucia dając wzamian jego ar-

tystyczną ekwiwalentyzację. Dążyła do tego wyraźnie i słusznie i w wynikach praktycznych osiągnęła to. Wiersze „Zwrotnicy“ są jaknajbardziej dalekie od mazania lirycznego, są przedmiotowe, a nie podmiotowe. Jest to nie liryka, powstała z obserwacji samego siebie, ale poezja konfliktu własnego ja z przejawami nowoczesnego zakresu cywilizacji.

Uczucie było jednym z fundamentów poezji romantycznej, tylko, że to, co u Koryfeuszów było potężne i ekwiwalentyzowane, u ich nędznych epigonów przerodziło się w jęczenia marnego ja, godnego polity-

Z drugiej strony, pomimo odrzucenia romantyzmu istniejące on w szeregach „Zwrot-

nicy“ jako wiara w kulturę, w twórczość mózgu człowieka i jego zwycięstwo nad nieskoordynowanymi elementami natury. Jest wiara w dobro i zło przeniesiona na płaszczyznę fizyko-chemicznych dociekań.

Ostatni numer „Zwrotnicy“ wyszedł przed rokiem przeszło, w tym samym miesiącu, w którym ukazał się pierwszy numer „Kwadrygi“ i w życiu literackim ubyło czegoś, co można nazwać elementem geometrii. Bez względu na to, że w pośród czasopism po wojnie powstałych, ona najwialniej przyczyniła się do rozwoju teoretycznych dociekań nad poezją i plastyką. Zbliżyła nas ku zagranicy od której zostaliśmy oderwani przez wypadki polityczne, wpro-

wadziła nas in medias res życia artystycznego Europy. Była seminarjum i niem pozostała, gdzie zaczynający pisać mogą wiele znaleźć, by nie popełnić błędu albo wogóle stwierdzić, że nie mają o czym pisać.

Mimo wszystko do tego co niesiono z Zachodu stosunek „Zwrotnicy“ był zawsze krytyczny, o czym świadczy choćby 6-ty numer poświęcony futuryzmowi i jego analizie.

W dziedzinie typografii „Zwrotnica“ może się poszczycić trwałością zdobyczami. Jej książki były wydawane ciekawie, zastanawiając swoją treścią układ graficznego, wysiłkiem ku zmianie tendencji dotąd panującej.

Archiskamandryta.

MIECZYŚLAW BIBROWSKI.

O Międzynarodowy Syndykat Prasy Literackiej.

„Was heute nicht geschicht ist morgen nicht getan“ — mówi Goethe. Stąd tyle projektów i projekcików „Świetlicy Autorów“, albo „Apartamentów Powieści“, dlatego poeci zlatują się po zamkach feudalnych na „sztukamięś“ i z punktu zawiązują cech wierszokletów — *ut traditio fiat* — ku oczywistemu zgorzeniu postępowych szewców i masarzy, dlatego czyni się w końcu taki galimatjas, że już kończy Irzykowski, a gdzie zaczyna Kaden. I oto jest i „ruch organizacyjny“ i „walka o poprawę bytu ludzi pióra“, ale to wszystko toczy się gdzieś w powietrzu — nic nie rusza z miejsca.

A „propaganda literatury polskiej zagranicą“? Sprawa ta utknęła mocno w klubach „celowej“ pracy i w pracy „celowych“ klubów. Mamy organizację literacką, która przyjmuje gości z zagranicy łosiosami i kawiozem i stara się pozyskać ich sympatję paru precyzyjnymi zwrotami, wyjętymi z podręcznego Ollendorfa. Mówimy o PEN-Clubie. Ale cóż nam z tego „okna na Europę“ i „mostu porozu-

mienia“, skoro Warszawa jest jeszcze ciągle dla czytającego londyńczyka zapadłą dziurą, której wogóle nie liczyłoby się, gdyby nie F. A. Ossendowski? „Most“ w „dziurze“ okazuje się tak potrzebny, jak dziura w moście.

Tymczasem konieczności zbliżenia literatur poszczególnych krajów w imię dźwigającej się kultury ogólnoludzkiej, nie da się okupić łatwym efektem robionej na eksport propagandy. Samo życie powołuje do istnienia organizację, która winna służyć zbliżeniu z najlepszym skutkiem. Chodzi o zorganizowanie *Międzynarodowego Syndykatu Prasy Literackiej*. Podajemy niżej projekt takiej organizacji, powstały w łonie grupy poetyckiej, „*Kwadruga*“.

Syndykat gromadzi jako członków wszystkie, a przede wszystkim młode czasopisma literackie Europy. Dzielić się ma na dwie zasadnicze instancje: *Centralę i Syndykaty Krajowe*. W obrębie szeregu państw odbywają się, przypuścmy, w końcu jesieni r. b. zjazdy przedstawicieli krajowych pism literackich, które wyłaniają

zarządy Syndykatów Krajowych, z pośród tych zarządów wysyła się delegatów na Zjazd Generalny ze wszystkich krajów, który obiera Zarząd Centralny i wyznacza mu siedzibę. Tak zorganizowana instytucja służy sprawie *metodycznej wymiany* pism, artykułów, twórczości oryginalnej i przygotowywaniu imprez, obejmujących więcej, niż jedno państwo.

Każde pismo nadsyła swojemu Syndykatomu tyle egzemplarzy numeru, ilu członków liczy cała organizacja międzynarodowa; każdy zaś Syndykat rozsyła je wszystkim członkom; tak, że co miesiąc np. mam na biurku tyle pism literackich z najdalszych zakątków Europy, ile egzemplarzy swojego pisma wysłałem swemu Syndykatomu; a jest on również obowiązany do dostarczenia — na żądanie — materiału informacyjnego, przekładu interesujących artykułów — współdziałając tu ze sztabem wykwalifikowanych tłumaczy. Wreszcie każdy z Syndykatów wysyła wszystkie dane, dotyczące swych członków Centrali,

Rys projektu organizacji Międzynarodowego Syndykatu Prasy Literackiej.

- A. Organizacja dzieli się na dwa człony: Centralę i Syndykaty Krajowe.
- B. Omówienie szczegółowe.

1. SYNDYKAT KRAJOWY.

- a) Zarząd Syndykatu Krajowego zostaje wyłoniony ze Zjazdu przedstawicieli krajowych czasopism literackich.
- b) Władzą Syndykatu, obok Zarządu Krajowego jest Zjazd Krajowy, który zbiera się perjodycznie dla omówienia spraw bieżących.
- c) Poszczególnie pisma, przystępując do Syndykatu Krajowego, stają się tem samem członkami Syndykatu Międzynarodowego.
- d) Każda redakcja pisma, należącego do organizacji nadsyła swojemu Syndykatomu tyle egzemplarzy każdego numeru, ilu członków liczy cała organizacja międzynarodowa; każdy zaś Syndykat rozsyła wszystkim członkom całej organizacji nadesłane egzemplarze.
- e) Na podstawie nadchodzących zamówień każdy Syndykat obowiązany jest do wysyłania poszczególnym członkom materiału informacyjnego, przekładu artykułów i twórczości oryginalnej z poszczególnego pisma krajowego; współdziałając tutaj z wykwalifikowanym sztabem tłumaczy. Poza tem każdy członek, korzystając z urządzeń organizacyjnych, nawiązywać może kontakt bezpośredni z pokrewnem sobie pismem.
- f) Ewentualne składki napływają do kasy odpowiedniego Syndykatu Krajowego; każdy Syndykat krajowy prowadzi gospodarkę samowystarczalności.
- g) Wszystkie dane, dotyczące swoich członków wysyła każdy Syndykat krajowy Centrali, która na tej podstawie wydaje perjodyczne biuletyny.

2. CENTRALA SYNDYKATU MIĘDZYNARODOWEGO.

- a) Zarządy Syndykatów Krajowych (albo Zjazdy krajowe) delegują członków na Zjazd Generalny Międzynarodowego Syndykatu Prasy Literackiej.
- b) Członkowie Zjazdu Centralnego, odbywającego się co pewien okres czasu (np. czterokrotnie większy od okresu Zjazdów krajowych) ustalą siedzibę Centrali i wybiorą Zarząd Centralny.
- c) Zarząd Centralny na podstawie dostarczanych materiałów przez Zarządy Krajowych Syndykatów wydaje perjodycznie biuletyn informujący o wszystkich członkach — rozsyłany tymże członkom. Bardzo dużem źródłem dochodów dla Centrali i poszczególnych Syndykatów byłyby wpływy na poparcie tej organizacji przez rządy państw, którym zależy na ekspansji kulturalnej.

która na tej podstawie wydaje perjodycznie *biuletyny informacyjne*, rozsyłane wszystkim członkom organizacji; wydawnictwo to mogłoby zostać połączone z redakcją *almanachu międzynarodowego*, poświęconego najmłodszej twórczości Europy. Próby takie były już przedsięwzięte np. ostatnio w Czechach. Mogłaby ogłaszać Centrala ankiety międzynarodowe, któreby jednocześnie znajdowały swój wyraz na łamach kilkuset czasopism!

Oto, że tak powiem, pryncyp organizacyjny, który wymaga całego szeregu korekt i dopełnień. Czy wymaga i czy warto nad nim dyskutować? Mamy przecież Pen-Club, który na płaszczyźnie, o którą nam chodzi — robi swoje?

Tymczasem właśnie sam fakt istnienia organizacji Pen-Clubów wskazując z jednej strony, że porozumienie międzynarodowe na terenie literatury jest potrzebne, poucza z drugiej, jakim ono być nie powinno. Pen-Club zbliża do siebie literatów; Syndykat Prasy Literackiej ma związać pisma literackie, a poprzez nie — społeczeństwa czytelników. Przyjacieli mój, chińczyk Tsao - Le, wyjeżdżając na zawsze z Pekinu, kupuje przez pomyłkę na peronie angielskie

czasopismo literackie, czyta na drugiej stronie w pulmanie wiersz Słonimskiego: „Chinki dziewczynki z pod Singapore” i pyta wzruszony towarzysza podróżny, co to znaczy „Polska” i co to znaczy „Antoni”.

A teraz weźmy dzisiejszy stan propagandy literatury naszej za granicami państwa. Propaganda ma obecnie charakter czegoś przypadkowego i jest zarówno obojętna mieszkańcowi Lipska, jak obywatelowi republiki murzyńskiej w Afryce. A Syndykat? Prozaik Quentin z Saragossy omawia z żywością wiersze pewnej poetki z Mokotowskiej w tej radosnej pewności, że odczytuje ona jednocześnie w swoim rodzinnym języku wyjątki jego powieści.

Accipio ut accipias. Organizacja taka musi znaleźć poparcie rządów państw, którym zależy na ekspansji kulturalnej. *Do ut des.*

Zrealizowanie niniejszego projektu wzmocze w dużym stopniu znaczenie literatury polskiej na rynkach zagranicznych, jako czynnika występującego z inicjatywą międzynarodową. A niema powodu wątpić w możliwości realizacji. Mówiłem w tej sprawie z p. *Henrykiem Rygierem*, prezesem polskiego oddziału Między-

narodowej Konfederacji Pracowników Umysłowych, liczącej półtora miliona członków — który oświadczył mi, że zrealizowanie projektu dokonać się nawet może przy współudziale tej Konfederacji, wskazując na pewne analogie — mianowicie na zorganizowanie Międzynarodowego Biura Muzyków. *Kaden - Bandrowski* zaś, tak wybitny znawca spraw literacko - organizacyjnych uznał projekt za konkretny, mówiąc, że realizacja jego przyniesie zaszczyt młodej literaturze polskiej.

Obecnie posiadamy kontakt z Francją i Szwajcarią, nawiązujemy — z Niemcami i Czechami. Podjęto pierwsze kroki w kierunku uformowania Syndykatu Krajowego. Artykuł niniejszy ma charakter informacyjny i przynosi materiał pod dyskusję. Wzywamy wszystkie zespoły literackie zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami do kontynuowania podjętej przez nas inicjatywy, komunikowania swych uwag i poprawek pod adresem redakcji Kwadrygi, Warszawa, Chłodna 6 m. 6, a *korrespondentów pism zagranicznych* prosimy o podanie swoim redakcjom krótkiego rysu tego projektu.

Odpowiedzi na ankietę przeprowadzoną przez redakcję „Kwadrygi” w sprawie Międzynarodowego Syndykatu Prasy Literackiej.

Henryk Rygier.

Prezes Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych.

Projekt „Kwadrygi” powołania do życia polskiego „Syndykatu Prasy Literackiej” i zainicjowania analogicznej akcji na terenie innych państw, a następnie związania szeregu takich syndykatów narodowych w syndykat międzynarodowy jest pomysłem, godnym ze wszechmiar zastanowienia.

Każde nowe poczynanie, o ile ma wydać należyte rezultaty, musi w zarodku swem posiadać kilka podstawowych warunków; szczęśliwa idea, odpowiedni czas jej realizacji, dobrze przemyślany program dostateczne środki realizacji i odpowiedni ludzie, — oto fundament powodzenia.

Toż samo zastosować należy do projektu „Kwadrygi”.

W okresie powszechnie na całym świecie gruntującej się de-

mokratyzacji idea uspołecznienia sztuki i kultury jest naturalną konsekwencją nowych stosunków społecznych, jest koniecznością, realizującą się przez wysiłek tych, którzy najwrażliwiej reagują na nowe prądy.

Prasa, stawiająca sobie za cel uspołecznienie sztuki, jest poważnym czynnikiem społecznym i w walce o swą ideę musi posiłkować się najnowocześniejszą bronią. Bronią tą jest organizowanie się w zbiorowość.

Jako prezes zarządu Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych i członek rady naczelnej Międzynarodowej Konfederacji Pracowników Umysłowych oraz Komisji do Spraw Pracowników Umysłowych przy Międzynarodowym Biurze Pracy, mam szeroki teren obserwacji pozwalający mi stwierdzić, że obecnie tylko czynniki zorganizowane, tylko zbiorowości wywierają należyty wpływ

na bieg wypadków społecznych. Walka indywidualna ustąpiła miejsca walce sił zrzeszonych.

Naturalną przeto tendencją jest stworzenie syndykatu prasy literackiej.

Czas po temu wybrali inicjatorzy jaknajwłaściwszy. Niema już obecnie zawodu, któryby nie organizował się na terenie swego kraju, a następnie nie włączył się w federacje, czy syndykaty międzynarodowe.

Ma swoje syndykaty i kongresy prasa ogólna, w końcu sierpnia r. b. odbędzie swój IV Kongres Międzynarodowy prasa techniczna i fachowa, musi również zorganizować się i prasa literacka.

Program i środki działania są już nakreślone, należy je tylko podać do publicznej wiadomości zainteresowanych dla dalszej dyskusji i pogłębienia;

ludzie, idei tej oddani, są, nie należy więc zwlekać z realizacją projektu.

Koniec bieżącego roku wydaje mi się terminem właściwym dla zwołania polskiego zjazdu przedstawicieli prasy literackiej.

Po ukonstytuowaniu się polskiego syndykatu przyjdzie czas na propagandę międzynarodową. Grunt jest tam dostatecznie przygotowany.

I szczęśliwie, że inicjatywa wychodzi z Polski.

Prof. dr. O. Halecki.

Przedstawiciel Polski w Komisji Współpracy Intelektualnej przy Lidze Narodów.

Chociaż stoję zdaleka od spraw literackich, a więc tej dziedziny, która panów interesuje, gdyż moją specjalnością jest historia, projekt ten witam z prawdziwą radością, jako jeszcze jeden węzeł zacieśniający stosunki międzynarodowe.

Uważam go za bardzo realny i łatwo dający się wprowadzić w życie. Wymiana czasopism literackich oraz artykułów i prac twórczych osobistych jest kwestją wprost bijącą w oczy racją swego ucieleśnienia. Pro-

jektowany biuletyn międzynarodowy, perjodyczny, obrazujący w danym okresie ruch literacki państw i narodów europejskich, będzie wydawnictwem pożądanym obok wydawnictw tego rodzaju już istniejących w innych dziedzinach jak np. biuletyn z zakresu życia uniwersyteckiego wydawany przez Międz. Inst. Współpracy Umysłowej w Paryżu. Szczytem projektu Panów są alamanachy międzynarodowe, ułatwiające szybką wymianę aktualnej, najwyższej pod względem poziomu produkcji poszczególnych Krajów.

W bieżącym roku zbiera się w Genewie podkomisja literacka Ligi Narodów.

Powyższa podkomisja zajmuje się wielu kwestjami, które dotyka projekt panów. O ile mi wiadomo Valéry bardzo silnie akcentuje potrzebę do rynch przekładów. Spodziewam się, a nawet jestem pewien, że znajdują panowie tam, jak wogóle na terenie międzynarodowym silny oddźwięk i chętną współpracę Delegatem polskim do spraw literckich w Międz. Inst. Współpracy Umysłowej jest prof. W. Folkierski, który z pewnością ułatwi panom ich akcję na terenie paryskim.

Rozmowa z Juljuszem Kaden-Bandrowskim.

P. Juljusz Kaden-Bandrowski, po zreferowaniu mu sprawy Syndykatu Prasy Literackiej zaznacza:

— Zastanawiając się nad tym projektem muszę znów podnieść ten zarzut, który stale przeciw Wam podnoszę: a mianowicie, to - Wasze ciągle wysuwanie potrzeby organizacji i pracy — przy małym wkładzie pracy z Waszej strony.

Więc choćby konkretny przykład Syndykatu. Niewątpliwie dobry i pożyteczny pomysł — lecz z czym Wy wejdziecie do tego Syndykatu i kogo chcecie w nim widzieć?

— Wygląda to tak, jakby, że użyję tego porównania, ktoś w czasie wojny zorganizował świetnie służbę łączności nie mając przytem prawie wcale wojska. Wy też zakładacie telefon, sygnały świetlne, radio - stacje — ale gdzie jest Wasza piechota?

— Być może, że ja jestem jeszcze z tego pokolenia, że tak

powiem „Chałupników“. Ja się zamykam w mojej dziurze i pracuję, pracuję ciężko, zachłannie. Wasz zaś stosunek do pracy jest zgoła inny. Wy nie pracujecie. Wy tylko mówicie o potrzebie pracy. Dla przykładu: Wasze podejście do robotnika — jest ono uczuciowe i przypadkowe. Po Waszych wierszach wciąż się pętają jacyś robotnicy, którym tryby maszyn miażdżą ręce i nogi — więc ekliwne współczucie i nikomu niepotrzebna litość. Nie widzicie natomiast tego, co jest naprawdę tragiczne: miłości robotnika do pracy.

— To, co Wam tu mówię robi może wrażenie jakiegoś nieprzychylnego, negatywnego stosunku do Was.

Ale tak nie jest.

Moje stanowisko — wyłącznie bodaj wśród ludzi mojego pokolenia — jest, że tak powiem „aktywne“. Wierzę w to, że Wy — moi młodzi koledzy — macie więcej od nas żywotności, tej siły rozrodzej, której przejawy wreszcie chciałbym zobaczyć!

Dr. Stanisław Vincenz.

Redaktor miesięcznika „Droga“.

Sądzę, że sytuacja zarówno krajowa, jak międzynarodowa sprzyja porozumieniu młodych sił intelektualnych, które mają do wyboru albo szukać nowych celów, a przez to mimowoli stać się kierownikami społeczeństw, albo poddać się już istniejącym celom i zrezygnować z prawdziwie nowych dróg twórczości. Dla naszego społeczeństwa i literatury zbliżenie się z tym, co najlepsze w społeczeństwach innych, miało by obecnie szczególnie ważne znaczenie, gdyż w sensie umysłowym jesteśmy parafją i to parafją, nie wiedzącą o tem, że jest parafją.

Jako najwłaściwszą drogę realizacji uważałbym z początku skupienie niewielkiej ilości ludzi, którzyby uświadomili sobie, barwę ideową organizacji mającej powstać, aby nie wytworzyć pustego schematu organizacyjnego, lecz coś żywego i zdolnego do życia.

Rola organizacji w ruchu międzynarodowym, mającym na celu zbliżenie intelektualne zależałaby właśnie od tego, czyby Syndykat Krajowy potrafił przedewszystkiem uprzyśtepić dla obcych grup intelektualnych w sposób rzetelny i utalentowany, to co by było dotychczas oryginalnego i twórczego w umysłowości polskiej. Naturalnie nie dla t. zw. propagandy, w dotychczasowym sensie, lecz dla dania możności obcym wnikięcia w swoiste pierwiastki duszy polskiej tak, aby wiedzieli, że przez to zapoznanie się istotnie wzbogacają swoją kulturę duchową. Poza tem musiałaby organizacja krajowa albo wyczuć jakie prądy wśród obcych grup mają istotnie przyszłość i nawiązać z niemi kontakt żywy, a nie oficjalny, albo też - jeśliby czuła się zdolną do wypowiedzenia swego „credo“, zdolnego wpłynąć na innych, wybrałaby drogę pewnej inicjatywy ideowej.

W projekcie jest dostatecznie opracowana kwestja technicznej organizacji, natomiast jest brak jakiegoś celu, lub barwy ideowej, któraby ożywiła taką organizację. Naturalnie, że organizacja piszących, a zatem zasadniczo zajmujących się pracą kulturalną i umysłową już sama przez się ma inną barwę, niż np. organizacja byłych uczestników Wielkiej Wojny, lub t. p. Ale nie-

żywe, czysto zewnętrznie zawodowe jej postawienie osłabi znaczenie tejże społeczne i jej ważność w całokształcie życia.

Stosunek mój i naszego wydawnictwa do ewentualnego Syndykatu jest bardzo życzliwy, jednak zależałby od przedyskutowania i uwzględnienia powyżej podanych uwag.

Warszawa, dn. 7 września 1928 r.

Barbrus.

(Wyjątek z listu znakomitego poety estońskiego).

W tym roku zorganizował się u nas oddział Pen Clubu, w którym, na szczęście, znalazły się młode i świeże siły, nie przeszkadzające przyłączyć się do tej organizacji najmłodszemu, radykalnie nastrojonemu i żywotnemu pokoleniu pisarzy.

Witam jednak radośnie syndykat — placówkę wspólnej międzynarodowej pracy dla tego pokolenia najmłodszego, które nie może przyłączyć się do poczynań Pen Clubu w różnych krajach — pomimo, iż u nas stosunek ten jest szczęśliwy.

Osobiście uważam, że Pen Club, pomimo wszystko jest organizacją typu salonowo-bankietowego, pozbawioną głębszych idei, związujących bojowników ducha w jedną zwartą kadrę.

Wiele myślałem o międzynarodowości pisarzy - twórców i według mnie, syndykat prasy literackiej najlepiej wypełni tę lukę życia artystycznego.

Oddział naszego Pen-Clubu zamierza na jesieni wydać biuletyn, o charakterze międzynarodowym — przegląd naszej poezji i prozy — status quo literatury.

Po ukazaniu się biuletynu, niezwłocznie go Wam przyślę, aby zaznajomić bardziej szczegółowo z literackim życiem Estonji.

Międzynarodowy syndykat prasy literackiej bezwzględnie znajdzie licznych przyjaciół wśród naszych penklubowców, a szczególnie wśród większości autorów, tymczasem nie ciężących do tej organizacji.

Posiadając powszechną, narodową organizację: „Eesti Kirjanikude Liit“ (E. K. L. — Estoński Związek Autorów) nie trudno będzie nam, w szybkim czasie, zawiązać stosunki na szerszą skalę.

Särnu (Estonie) 14. VIII. 28.

Michał Heilperln.

Członek Towarzystwa Filizoficznego w Genewie.

Gdy przyjaciel mój, Bibrowski, podzielił się ze mną swym projektem stworzenia syndykatu międzynarodowego młodej prasy literackiej, powitałem ten zamiar z uznaniem, uważam, że jeżeli plan ten dojdzie do skutku, stworzy jedno jeszcze ogniwo na drodze zbliżenia narodów i że w tem leży jego znaczenie. Tak ujęty, nie jest to sporadyczny odruch, lecz element dążenia, jakie charakteryzuje poniekąd całą naszą epokę.

Nie ulega wątpliwości, że w literaturze odgrywa bardzo doniosłą rolę pierwiastek narodowy i wpływ środowiska; wynika to już z samej osobowości pisarza. Jednakże nie należy sądzić, pozostawać jedynie w mniej lub więcej ciasnych ramach, ograniczyć się do zamkniętego koła zagadnień; dla pisarza, poety ważnem jest zdobycie jaknajszerszych horyzon-

tów. Z zetknięcia się ludzi, należących do różnych narodów, wypływa zetknięcie się rozmaitych światopoglądów i licznych grup zagadnień, a wtedy wysuwają się na czoło sprawy i problemy, powszechną ważność posiadające, problemy, które wzbijają się ponad sprawy dnia i miejsca, na wyżyny ogólnoludzkie przeżyć i dążeń. Tak pojęty internacjonalizm, a raczej może supranacjonalizm, prowadzi do uniwersalizmu, który przeciwstawia się nie indywidualizmowi, lecz partykularyzmowi (którego zresztą obok siebie nie wyklucza). Jedną uwagę jeszcze, celem zapobieżenia ewentualnym nieporozumieniom: nie należy utożsamiać internacjonalizmu z kosmopolityzmem; drugi pragnie niwelacji wszelkich cech i różnic narodowych, pierwszy pragnie ich szarmonizowania i koordynacji.

Sądzę, że zdobycie takiego uniwersalizmu jest dla literatury sprawą pierwszorzędnej wagi.

Tadeusz Peiper

Redaktor czasopisma poetyckiej grupy „Zwrotnica“.

Młodość nie jest ideą, sama przez się nie może być podstawą żadnego zrzeszenia. Takie intencje projektu, jak wzajemne przekłady utworów lub publikacja almanachu ogólnoeuropejskiego, mogą rozbić się o opór tych, dla których nie będą obojętne różnice ideowe, dzielące młodą prasę literacką. Rozumiałbym ich bardzo dobrze, gdyby nie chcieli współdziałać w podtrzymywaniu i rozwijaniu pism, które uważają za szkodliwe.

Chyba międzynarodowy syndykat młodej pracy literackiej nie zmierzałby do zamiany młodości na ideę przez przeciwstawienie młodości liczniejszym latom. Ideifikacja młodości może mieć coś z deifikacji, o ile kierować nią będzie nowatorska młodość myśli. Tylko umysły ciemne, pogrążone w podręcznikowych szablonach, widzą rozwój literatury jako walkę młodych ze starymi. O wiele ważniejszą dla dobra literatury bywa nieraz walka młodych z młodymi.

Marjan Piechal

Redaktor „Meteoru“.

Sądzę, że więcej celowym i realniejszym od Ligi Narodów i paktu Kelloga w swoich skutkach na przyszłość mógłby stać się zrealizowany projekt Międzynarodowego Syndykatu Młodej Prasy Literackiej, którego potrzebą i celem powstania winno być przede wszystkim zbliżenie duchowe i urastanie młodych, podatnych jeszcze na wpływy twórców we wspólnej wytworzonej przez siebie atmosferze. Instytucja podobna mogłaby odegrać doniosłą rolę samowychowawczą nad przyśpieszeniem i ujednostajnieniem dojrzałości psychicznej ludzkości do ostatecznego zlikwidowania sztucznych frontów zewnętrznych i, co najważniejsze, do przełamania najsilniejszego frontu wewnętrznego, czemu dotychczas na przeszkodzie stoi nieskoordynowana jeszcze zarówno w czasie jak i w przestrzeni anarchja świadomości i instynktu społecznego wśród najszerszych warstw całego świata.

A wiemy, że jedyną drogą od podświadomego instynktu do pełnej świadomości społecznej, której dalszym i jedynie konsekwentnym ogniwem może być tylko realny czyn społeczny, jest literatura.

NINA RYDZEWSKA.

Wesoła pieśń o Gdyni.

*Tu się nie śpiema po nocach ze słowikami serenad
i nie marzy się tu o różach i o bzach przy księżycu.
Tu ryczą schrypnięte bawoły — okrętowe syreny,
tu praca się kotłuje, przewala po drogach i ulicach.
Tu ręce na stal się hartują w wysiłku
i prężą się niecierpliwie cegły i kamienie.
Tu dzień się nie zatrzymuje na noc w bielonej wapnem sien —
roboczy dzień nie ma tu granic: zarania i schyłku.*

*Tu się twarda i wściekła, betonowa radość panoszy.
Tu proste, białe domy szczerzą tysiące okien.
I codzień — stopień po stopniu most białych pięter się wznosi
i codzień nowe tutaj kładą fundamenty
i codzień milion ton cegieł i bloków
wyrzucają w porcie okręty.*

*A w nocy wesoła, morską kolysankę
śpiewają w dokach bumpy, wiatrem potrącane
i radość tańczy na linach wściekłego kankana
i śmiechem krztuszą się fale kudłate, jak owce
i — ach!.. wszystko po dniu pijanym — pijane — pijane
i wszystko bliskie i własne i nic nie jest obce.*

*I wcale nie boją palce, pokrwawione o sznury.
I wcale nie ciąży bary — twarde karjatydy.
Robota — lekkie wino!
Hurra... Stawiamy mury!
Budujemy dźwigary i promy!
Ładujemy miliony ton węgla!
My czarni ludzie z portu — nie mamy i zwiady.
Budujemy wysokie, przezroczyste domy.
Budujemy jasne, kwadratowe kościoły
i modlimy się hukiem stalowych kielni i młotów
i spowiadamy się ścianom stukaniem młotów i kielni
i codzień ulicami toczymy nasz wesoły pochód
i codzień czerwone okręty ryczą nasz marsz weselny.
Hurraaa!..*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI.

H e r e z j a .

*Daremnie w noc wbijamy błysk oślepych źrenic
I z oczu zdrapujemy cwałującą czerwień, —
Bije w nas rozpalony grad czarnych kamieni,
A ziemia pod stopami drży, jak sploty nerwów.*

*Na gorącym kraterze wiatr zdziera nam włosy,
Ktoś ukryty w ciemnościach wciąż woła — do broni —
Nie wiemy, gdzie uderzyć, gdzie skryć się przed ciosem,
Przed jakim gniewem, jaką tarczą się zasłonić.*

*Kołujemy, trzepoczemy nad ogniem, jak ćmy — obłąkani,
Opętani przez lęk i grozę wilcze ślepią ciskamy z matni:
Tylko gluche, milczące niebo ponad nami,
I wichler rąk wzniesionych w górę — krzyk ostatni.*

*Nic nas tu nie ocali, nic tu się nie zmieni;
Żywioly idą dołem, a milczenie — wyżej,
Więc upadamy czołem na twarde kamienie
Przed posągiem człowieka walącego krzyże.*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI.

P a c y f i s t o m.

*Ty — karmelkowo słodki, seraficki loju
Spasły Fra Angelico — całujący lwy:
To na polach pod Verdun szedł anioł pokoju
Przed miljonową armją, wśród kurzarwy krwi.*

*Bankierzy rozpostarci na fotelach stu Lig,
Milutko Europie dmący w złoty róg,
Powiedzcie no, któremu z was padł syn od kuli —
Jak dąb ścięty — u ojcowskich nóg.*

*Trzeba pierwszej stanąć z karabinem
Przed wszystkimi pałacami wolności:
Mieczem węzły historia rozcina —
Pierś historii miecz gniewu rozciął.*

*Prędzej pakować kufry i tłuste walizy —
Panowie — naszym globem wstrząsa groźny dreszcz,
Rentjerzy z nad Sekwany, Wisły i Tamizy —
Jest w dymiących kraterach siarczany deszcz.*

NINA RYDZEWSKA.

...I odpuść nam nasze winy...

*..I odpuść nam nasze winy, jako i my...
Ale my nie jesteśmy winni, żeś nas wyłonił z grzechu,
żeś nas, jak robaczywe ziarna, ze skorup wyluskał.
Dławimy się Twoją łaską, jak szczęśliwi — śmiechem,
przeżuwamy święte pacierze, jak czerstwe chleby w ustach.*

*O chleb powszedni prosimy Cię codziennie, jak o świętą Hostję —
czemu nas po imieniu nie wezwiesz do Swojego stołu...
Za jakie grzechy karzesz wygłodniałych — postem,
i na coś rozrzucił po ziemi głodu apostołów?*

*Milczy nad nami Twoja niebieska, głucha studnia,
a Tyś tylko jeden miał wypełnić obowiązek:
każdy zakątek swej ziemi zgłodniałym mrowiem zaludnić,
a potem im kiszki postem poskręcać i powiązać.*

*Rozsypałeś nas hojną ręką, jak milczące gwiazdy po ziemi.
Przyświecamy sobie w ciemnościach błyskiem głodu w ślepiach.
Mordujemy, bluźnimy, wieszamy się, kradniemy...
Czy po toś nas, na swe podobieństwo, z żółtej gliny ulepił?*

*Jesteśmy czarną armją złodziei i zbrodniarzy —
Tyś przecież tego chciał — nie może być inaczej.
Trzymasz nas w swojej mocy i losy nasze ważysz,
a stwarzając, — każdegoś piętnem grzechu naznaczył.*

*Gnieździmy się w suterynach, jak parszliwe szczenięta,
wychodzimy na krwawą robotę nocą, lub o zmierzchu...
I tak dzień po dniu staje się Twoja wola święta,
i tak dzień po dniu, po zbrodni, świat nas wpędza do mieszkań.*

*A że grzeszymy nie ze swojej, lecz z Twojej woli, Panie —
odpuść nam nasze winy, jako i my...
Zasłoń nas czarną nocą i nie karz nas świataniem —
nocą, pod Twoimi gwiazdami, bezpieczniej zabijamy.*

R u b i k o n .

Duchowa istota sztuki składa się z tych samych elementów, które składają naszą jaźń i wypełniają rzeczywistość indywidualnego życia.

Sztuka jest grą naszej duchowej muskulatury. Nie brak w niej żadnego ściągna.

Widzimy czwaności intelektu, jego doraźne chwytty, jego odruchowe konstrukcje, jego celowe uproszczenia treści i formy, jego niespodziane związki i zależności. Oto wnikliwość intuicji, która jest przedświtem poznania. Oto tyranja bogów i smuga cienia boskiego.

Mówimy: sztuka powinna stwarzać człowieka, — a stwarza tylko czytelnika.

Ale któż to jest ten czytelnik?

Nieszczęsny cesar w cyrku, patrzący przez szmaragd na igrzyska. Igrzyska przed nim tylko i dla niego tylko. Cała komedia ludzka przed nim tylko i dla niego. Przed nim defilują pretorjanie, przed nim giną gladjatorzy.

Ave lector! morituri te salutant.

Ale któż to jest poskromiony w wielkim cyrku sztuki?

To ty boski cezerze! To ty czytelniku.

Ciebie zsieczono. Ciebie poskromiono. Ciebie splątano w sieci, przebito trójzębem i włócznią. To ty zdychasz tam na czerwonym piasku. Twojego ducha czerwone i sine trzewia, jak glisty wdeptano w piasek. Padają róże słów na ten żwir z Tybru.

A tobie wydaje się zawsze żeś pod czterema orłami cesarskiego baldachimu. Bezpieczny wśród pretorjanów. Niedosiężony i daleki za twym szmaragdem.

Nigdy i nigdy nie poważysz się dać ręką znaku śmierci. I nigdy nie wypowiesz, nie wycharczesz: **Macte!**

Przerażają cię — prośbą. Oplwają cię — łzami. Przestrzelają cię — śruciną żrenic. Zakrzyczą cię życiem i śmiercią.

Czytelnik, to człowiek słaby, zniszczony przez hipnozę sztuki,

ki, jak medjum po seansie. Sztuka burzy w nim prawa perspektywy duchowej. Rzeczy bliskie i rzeczy dalekie. Rzeczy wielkie i rzeczy małe. Rzeczy ważne i rzeczy błahe.

Wszystko jest w nim jednakowo bliskie, jednakowo wielkie, jednakowo ważne. Na jednym ociosanym pniu, sztuka szczepi kłobuki tysiąca gatunków.

Pegaz Apollina ma dziś tysiąc pęcin.

Czytelnik jest jak palimpsest. Sztuka zakleja i zaciera pierwotne pismo ducha, smaruje swój własny autograf. Ale kredda się osypuje i różne pisma wikłają się, a duch staje się nieczytelnym gryzmołem.

Sugestje czuć cudzych wytwarzają w człowieku obojętność ducha, bezplanowy humanitaryzm, kakofonję moralną. Wszystkim jednakowo współczujemy, wszystkich jednakowo rozgrzeszamy. Wszyscy jednakowo nas przekonywują — Hamiet i Bonaparte, Leonardo i Michał Aniol, France i Tolstoj, Vautrin i św. Franciszek.

Nie odróżniamy Chrystusa od Barabasz.

Sztuka zawdzięcza swój byt temu, że nas przenika głód rzeczywistości, żądza uwielokrotnienia własnego życia, żarliwa ciekawość kosmicznej wiedzy. Człowiek łaknie cielesnego bar-

barzyństwa — konkretności, tomaszowej namacalności wszechświata.

Człowiek jest mięsożerny. Jak rudy pies Dekanu, jak wilk z nad Yukonu — białymi kłami mocy rozdziera masę kosmiczną.

Ta nienasycona żądza wszechświata, żądza jego cielesności i rzeczywistości jest w duchu ludzkim najistotniejszą i rdzeniem pierwotną racją bytu sztuki, jest bowiem żywą i czynną potrzebą.

Jedynym najogólniejszym zadaniem sztuki, które się da oprzeć na wulkanicznych kraterach tej potrzeby, jest poznanie całej rzeczywistości wszechświata.

Świadomość i oczywistość konieczna tej misji przenika z wolna sztukę współczesną. Największy artysta naszego wieku — Józef Conrad w znanym wstępie do „The Nigger of the Narcissus“ określa sztukę jako „wysiłek ducha do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie na jaw prawdy wielorakiej i jedynej — ukrytej przed wszelkimi pozorami“. Jest to usiłowanie, by wykryć w kształcie prawdy, w jej barwach, w jej świetle, w jej cieniach — w zmienności materji w przejawach życia — to co jest podstawowe, co jest trwałe i zasadnicze, jedyną cechę, która wyjaśnia i przekonywuje. Artysta podobnie, jak myśliciel, lub uczony szuka prawdy i przywołuje ją. Conrad pragnie „zmusić ludzi, wpatrzonych w odległe cele, aby ujrzeli przez chwilę otaczający ich przepych kształtów i barw, światła i cienia“. Oto doznawanie wszechświata płucami, dłonią, żrenicą. Oto zmysłowe obcowanie z razowym granitem ziemi, czerwonymi sutkami słów i jurną pachwiną życia. Ale zasadniczą postawą artysty jest poznanie. Poszukiwanie prawdy jest pracą i wyczerpaniem myśli.

To ogólne zadanie sztuki jest podwójnie konieczne, bo ono tylko osiąga podwójnie racjonalny skutek.

Popierwsze bowiem: pozna-

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI.

* * *

*Dni jak bąk warczą, skaczą,
kręcą się, wiercą, płyną...
Na dole harmonja płacze,
na piętrze bębni pianino.*

*Popatrzę za siebie — nic niema,
przed siebie — mówić nie warto!
ktoś woła: żyjemy, żyjemy!
— z twarzą, jak chodnik starta.*

*A jakby żyć można inaczej
z wiara, z nadzieją inną... —
Na dole harmonja płacze
na piętrze bębni pianino.*

nie, jako cel sztuki jest jedyną elementarną formą nasycenia i społecznego zużytkowania żądz żywej rzeczywistości, rozszerzenia powierzchni, uwielokrotnienia i pomnożenia indywidualnego życia, — żądz, której istotę stanowi potrzeba wiedzy kosmicznej i kosmicznych uświadomień.

Powtórze: polityka estetyczna czyniąc poznanie uniwersalnym zadaniem sztuki, wskazuje intelektowi, który jest tej sztuki elementem, takie stanowisko hierarchiczne w ugrupowaniu innych jej elementów, które odpowiada jedynie powszechnej racjonalizacji życia. Dzięki temu polityka estetyczna nadaje sztuce postawę uniwersalnie ewolucyjną — postawę intelektualną.

Należy poddać analizie i określić ściślej tę intelektualną postawę sztuki, o ile zawiera ona pierwiastki nowe i obce sztuce istniejącej.

Obecność i działalność intelektu w sztuce jest niewątpliwa, trzeba jednak znać bezkresną rozległość jej zasięgu. Subtelna chemia ducha odkryje wszędzie jej poruszenia i reakcje, jego tajemną, konspiracyjną pracę. Lakmus badania zdradza jego wszechobecne incognito, zdradza je na całej przestrzeni pracy myślowej i form tej pracy w sztuce.

Formą intelektualną jest przede wszystkim sama forma artystyczna, jest ona bowiem tylko stopniem uproszczenia rzeczywistej i bezpośredniej treści. To uproszczenie przedmiotu jest podstawową funkcją intelektu tak w nauce, jak w sztuce, polega bowiem na myślowym uzdatnieniu przedmiotu, na przygotowaniu go do badania. Forma, jako stopień uproszczenia treści jest tak w nauce, jak w sztuce procesem eliminacji cech, elementów lub warunków zjawiska, porządkowaniem ich, stwarzaniem optycznej perspektywy poznania.

Powstanie tej formy może być jednak albo luźnym odruchem i manjerą intelektu — wtedy wydaje się ona wytrykiem irracjonalizmu — albo jego celową konstrukcją.

Formą intelektualną jest opis artystyczny. Znaczenie ściślej definicji naukowej posiada w nim wnikliwość kojarzenia artystycznego. Biorąc przedmiotowo jest to ten sam chwyt my-

ślowy: zestawienie obcych elementów, które się spaja i utożsamia. W tej płaszczyźnie różnicy nie stanowi, że logika używa znaku równoważności, a sztuka spójników, lub innych form płynnych utożsamienia. Formą intelektualną jest metafora, opiera się ona na analogji, umożliwiającą pojęciowy ogólnik.

Formą intelektualną jest symbol artystyczny, który zawiera dwa intelektualne elementy: kojarzenia — definicji i uogólniania — generalizacji pojęć.

Formą intelektualną jest również użytkowanie tego symbolu, więc albo wysnuwanie zeń szczegółowych konsekwencji w stosunku do danego zjawiska — czyli wnioskowanie analityczne, jako czysta forma dedukcji, — albo konsekwencja artystyczna — konsekwentne rozwijanie metafor asocjacji, obrazów i t. d. Nie wymieniam innych, oczywiście intelektualnych poruszeń psychicznych.

We wszystkich formach myślowej pracy sztuki — podstawę stanowią czynności intelektualne. Są płynne, nieokreślone, chaotycznie i mają ten charakter pierwotności, cechujący bezpośrednie zetknięcie psychiki z rzeczywistością. Intelekt w sztuce występuje najczęściej w formie intuicji, którą tu pojmuję jako władzę poznawczą inaczej jednak niż Bergson.

Polityka estetyczna, czyniąc poznanie elementarnym zadaniem sztuki, musi określić przedmiot tego poznania, jego formę i cel.

Przedmiot określiłem już w części statycznej. Jest to cała rzeczywistość indywidualnych rzeczy i przeżyć, cała indywidualna treść świata, którą może objąć sztuka.

Nauka i sztuka, stawiając sobie wspólne zadanie poznania, pracują w warunkach odmiennych. Nauka operując typami uproszczonymi, ogólnie określonymi masami, może rozwinać wszystkie, formalnie konieczne ogniwa rozumowania.

Sztuka indywidualizuje rzeczywistość, przez to zmuszona jest uprościć poznanie. Tam gdzie idzie o badanie zjawisk nietypowych w przeciwieństwie do nauki wobec nieogarnionego mnóstwa cech, elementów i zależności, których ściśle, logistyczne poznanie jest niemożliwe, jest intuicja jedynym, mimo jego wad, narzędziem, jedynym

ekonomicznym stanowiskiem aktywnego poznania. Polityka estetyczna nie uznaje jednak intuicji za suwerenną władzę poznawczą w dziedzinie sztuki i odnosi się do niej krytycznie. Aby ukazać istotę tego krytycyzmu i słuszność płynących zeń wniosków, polityka estetyczna musi wysunąć sławną koncepcję intuicyjnego poznania. Koncepcja Bergsona, będąc poniekąd metafizyką intuicji, nie może zadawać polityce estetycznej.

Poznanie intuicyjne nie jest ani zupełną dedukcją, ani zupełną indukcją, nie jest wogóle procesem rozwiniętego rozumowania. Przeciwnie jest procesem skróconym, w którym brak koniecznych ogniw, procesem, w którym diagnoza jest błyskawicą.

Intuicja jest psychiczną mławą intelektu.

Jest rzeczą konieczną, dla naukowego uproszczenia ludzkiego wnętrza, określić w sposób ogólny jej genezę.

Intuicja jest zredukowaną i uproszczoną sumą ogółu doświadczeń intelektualnych, wszystkich chwytów, ujęć i rozumowań, namulonych przez dzieje gatunku i życia; jest odziedziczoną mnamą intelektualną tysięcy lat. Nie będąc w żadnym razie kapitalizacją wiedzy, jest jednak kapitalizacją poznania. Jej wewnętrzna struktura i forma poznania jest więc tylko skrótem poznania zupełnego i rozwiniętego. Skreślone i opuszczone ogniwa, przesłanki, założenia, wszelkiego rodzaju naturalność i oczywistość pominięta; wszystko to tkwi w podświadomości, z której daje się przeważnie wyprowadzić, zwłaszcza jeżeli chodzi o intuicje nabyte w indywidualnym rozwoju jednostki, a nie odziedziczone. Analizę taką przeprowadzałem z dobrym skutkiem, co dało mi sprawdzian indukcyjny, aczkolwiek powyższe ujęcie intuicji poznawczej zaleca się ze względów ogólnych, jest poniekąd postulatem logicznym.

Ujęcie to nietyle nawet przeczy teorii Bergsona, ile poprostu i świadomie godzi w filozoficzną rację bytu tej koncepcji. F. Znaniecki, omawiając alternatywy filozofii współczesnej, tak tę rację bytu określa: „Teoria myśli, jako życiowego zjawiska — ogniwa działalności

powoduje konieczność jej zbadania, następnie zaś względny charakter wszelkich teorii racjonalnych zmusza bądź do szukania nowej „władzy poznawczej“, mogącej dostarczyć pewniejszych niż rozum danych“, bądź do kryterjologii pragmatyzmu. Tę nową władzę poznawczą odkrywa Bergson w intuicji. Słusznie jednak zastrzega Znaniecki: „o ile poznawcza rola intuicji dawała się porównać z poznawczą rolą rozumu — względność rozumowego poznania rozciągała się na nią“. A wtedy wysuwanie intuicji nie osiąga celu, którym jest właśnie bezpośrednie i absolutne poznanie. Słusznie również podkreśla, że „w każdym razie już rezultaty intuicji musiały być racjonalnie sformułowane; w tem przejściu zaś od intuicji do racjonalnego wyrazu bezpośredniość jej znikła“. Bez względu na jej zaś samodzielność, jako rzekomo nowej władzy poznawczej znika w mojem ujęciu intuicji. Wskutek tego przepada też filozoficzne znaczenie intuicji, której wysunięcie miało rozerwać słynne błędne koło spencerowskiego jeszcze ewolucjonizmu.

W świetle powyższego ujęcia istnienie i powstanie intuicji jest tylko przejawem ekonomii psychicznej, o której tyle pisali James, Schiller i Davey.

Tu jednak krytycyzm wobec intuicji i jej rozpoznań znajduje już wyraźną podstawę. Pomimo swej wnikliwej elastyczności ma ona skłonności schematyczne, opiera się o przeszłość, jest schedą intelektu przeszłości. Popelnia błędy zarówno w nauce, jak w życiu. W nauce jakże niebezpieczne są wskazówki i podszepty intuicji, jakże błędne jej definicje. A nasze niespodziane i niewytłumaczone niepowodzenia miłosne, których gorycz zwracać się powinna nie przeciw kobiecie, którą odgadywaliśmy fałszywie, lecz przeciw zawodnej intuicji. Jej filozoficzne wywyższenie u Bergsona — daremne zresztą — nie usuwa tych wad, które musi konstatować polityka estetyczna.

W stosunku do zupełnych i rozwiniętych procesów poznawczych nie jest ona siłą wcześniejszą i bardziej pierwotną. Przeciwnie — jest całą ogółu zamierzchłych wysiłków poznawczych.

Polityka estetyczna, biorąc intuicję za podstawę poznania w sztuce, wymaga jednak od niej wysiłonego aktywizmu wewnętrznego i żąda, by osiągała ona postać poznania najbardziej pełnego, skończonego, rozczłonkowanego, jednoznacznie i oczywistego, przeniknięcia świadomością we wszystkich kierunkach igły magnetycznej. Na tem bowiem polega przedewszystkiem racjonalizacja ducha, by wszystkie jego przejawy do takiej oto doprowadzić postaci. Tę postać zyskują one właśnie w płaszczyźnie intelektu.

Poznanie kosmiczne, jako baza czynu artystycznego zmienia w sposób istotny i racjonalny zasadę stosunku sztuki do odbiorcy. Dotąd zasadę tego stosunku stanowiła mgławica sugestji artysty, który jak hipnotyzer — szarlatan nadużywał tej siły dla wszystkich nieokreślonych i co gorsza określonych celów, narzucając irracjonalnie bądź ideje, a więc oderwane koncepcje intelektualne, bądź swoisty sposób przeżywania rzeczywistości i samego siebie, stanowiący najistotniejszą tajemnicę indywidualnego życia, jego własną barwę i własne prawo wynikania całej treści psychicznej, czynnego kojarzenia, doznawania odczuwania i wysnuwania wszelkich przeżyć, jak się to dzieje pod wpływem Żeromskiego, Conrada, Hamsuna.

Odbiorca ulega coraz nowym hipnozom, sugestjom, nieomal katalepsjom.

Cały ten heteryzm sztuki rozpręga jego duchową konstytucję, targa jej żywotne zrosty i węzły, podrywa indywidualny ustrój organizmu psychicznego, ten ustrój oznaczający indywidualną zdolność do działania, niszczy organizację ludzkiego wnętrza, rozgniatą ją na zmieszana miążgę duchową poszarpanych ściągien, podartych mięśni. Sugestje intelektualne, moralne, artystyczne stoczyły to wewnątrz na lotne piachy i diuny ducha, które lada podmuch przesypuje i popycha, tworząc ten sceptycyzm uczuć nie uwiązanych należycie, pozbawionych wszelkiej żywiołowej pełni i istotności, uczuć — refleksów.

I oto sztuka, mająca rzekomo rozwinąć strefę moralną człowieka, doprowadza do stanu zupełnego dyletantyzmu uczuciowego i moralnej impotencji, a

przez to rozmywa moc i męskość jedyńczych duchów.

Przecież każdy człowiek montuje swego ducha w pewien indywidualny sposób, stwarza tę perspektywę moralną — naprzód podaje czołowe frontony, w głębi znaczy rzuty skrócone i cienie.

Sztuka niweluje tę perspektywę, te wysunięte czoła, te skróty.

Strefa moralna, strefa uczuć, afektów i namiętności jest po prostu skrzynką biegów ludzkiego działania. W tem świetle idea komuny duchowej i nieoparte o dobór racjonalny obcowanie — staje się heteryzmem moralnym.

Być może, że Tołstoj, Nietzsche, France, Żeromski — każdy z osobna mógłby utworzyć i wychować żywego człowieka, ale ich zmieszane oddziaływanie jest zabójcze.

Coctail z tysiąca genjuszów, ów boski nektar sztuki współczesnej przeistacza się na cykutek.

Tembardziej, że każdy autor jest rzemieślnikiem, pracującym przy własnym warsztacie w ciemnej chałupie swego ducha, przez założone szyby światła nie widzi, a niebo ogląda przez lufcik.

Nie wolno tu mówić o samobronie jednostek, o naturalnym doborze psychicznym bo jednostka wobec sztuki jest bezbronna i nie ma wolności wyboru.

Cóż znaczy uniwersalistyczny, lub jakikolwiek inny zwrot w sztuce, skoro **nie tylko współczesną literaturą żyjemy**.

Ten stosunek myślowy sztuki do odbiorcy, który polegał dotąd na irracjonalnych sugestjach opiera polityka estetyczna na intelekcie. Zyskuje przez to poznawcze oddalenie człowieka od rzeczywistości, intelektualny dystans między podmiotem, a przedmiotem, a zarazem prawdziwie celowe i zwycięskie wszczepienie intelektu, jako narzędzia skutecznej i nieomyślnej pracy.

Tylko intelekt może neutralizować granicę między odbiorcą, a twórcą.

Granica ta była dotąd Rubikonem gwałconym zawsze przez inwazję uzurpatorów z losami i przeciw losom, bramą podboju i niesprawiedliwej przemocy, którą przekraczają cezary i szaulisy.

STEFAN FLUKOWSKI.

Musimy zdobyć wzajemność jaskółek...

*Musimy zdobyć wzajemność jaskółek —
Przez błękit idą ich lotu proste linje.*

*Spadł deszcz kroplisty na ziemię
I w lan się położył, przyczaił: —
Woda tyczkami słomy pójdzie ku ziarnom w zbożowym chlebie
Do mierzchu wespnie się mały zielony pałak.
W górę z podwórza wzeszedł piorunochron,
Od ziemi się oderwał i wbił w niebo,
Zamiast elektryczności spił błękitu ogrom,
Gałęzie puścił z siebie koloru cyclamène, jak drzewo.
Musimy zdobyć wzajemność jaskółek: —
Chcemy poziomą ich lotu przeciąć piorunochronu pion —
Chcemy nałapać kropel dżdżu soczystych kółek —
I rzucić na tańczącą ziemię — kulisty dom.*

Zdolni ajenci literacy poszukiwani.

Poezja jest towarem kolonialnym

W Anglii, gdzie t. zw. kultura literacka i organizacja żywej literatury stoi co prawda bezporównania wyżej niż u nas, każdy literat ma swojego ajenta.

Obowiązki takiego pośrednika są łatwe do przewidzenia: porządkuje on rękopisy „patrona“, zanosi je do wydawcy, sprzedaje, klóci się, grozi, obraża, inkasuje, telefonuje, telefonuje, telefonuje, jednym słowem załatwia te wszystkie czynności, które wykonywane przez samego „patrona“ odbiłyby się ujemnie na hygienie i i technice jego twórczości.

Oczywista, że „patron“ mógłby się w gruncie rzeczy obyć bez takiego „vermittlera“, ale byłoby to z punktu widzenia organizacji pracy tak samo bezsensowne, jak to, gdyby p. Albrecht zapragnął indywidualnie, albo conajwyżej przy pomocy, swej najbliższej rodziny obsługiwać swoich znakomitych gości.

Potrzeba, a nawet konieczność istnienia takich agentów zdaje się być zupełnie zrozumiałą; tembardziej dla młodych, początkujących literatów, których akcje bardzo dyskretnie uczynają się ukazywać na giełdzie księgarskiej.

Bo iluż to młodych poetów zwichnęło sobie skrzydła w tej bolesnej alei telefonów, ukłonów i hipokrytycznych dialogów, która łączy rękopis, leżący na biurku, z gabinetem wydawcy; — i młody poeta nie może, a nawet nie powinien sprzedawać swoich wierszy, ponieważ zawsze i mimo wszystko łączą go z dziełem filiacje tak kordjalne; że prowadzenie rzeczowych i nieubłąganych rozmów o procentach zdaje się być nieomal wykluczone.

A gdyby nawet ten młody poeta zdołał wyrobić w sobie najzupełniej handlowe podejście do swych towarów kolonialnych, byłoby to niewskazane i szkodliwe dla poziomu jego twórczości.

Bo poeta zdaje się powinien hodować w sobie pierwiastki profetyczno-taumatyczne; mówię „zdaje się“, bo sądzę jednak, że prawdziwemu poecie nie zaszkodzi dyskontowy pogląd na sztukę, tak jak cynizm nie będzie plugawy w ustach świętego.

Chociaż — mimo wojnę europejską i t. zw. futurystów wielu jest jeszcze u nas kwaków¹⁾ poezji, którzy poezję w dalszym ciągu traktują, że tak powiem, podobłocznie.

Ciekawy i normalny fakt, że ten podobłoczny stosunek jest już dzisiaj wyłącznie stosunkiem bankierów, kupców i fabrykantów.

Kiedy w rozmowie o naszej Kwadrydze z młodym ekonomistą Maksymilianem Fiszerowem temu ostatniemu zakomunikowałem, że administracja „Kwadrygi“ pertraktuje w sprawie dużego inseratu z pewną łódzką fabryką drutu, tenże młody ekonomista oświadczył mi, że przyjęcie takiego insertu ze strony redakcji będzie nietaktem, a ze strony fabrykanta rodzajem mecenasowskiej pożyczki, albo szaleństwem.

Przykład ten jest klasyczny dla stosunku kapitalizmu do współczesnej poezji. Stosunek ten tak się ma do stosunku poety, jak odpowiednie stosunki bigota i celebransa do kielicha liturgicznego, gdzie przez celebransa rozumiem nie arystokratycznego szamana z przyrządem magicznym, a właśnie robotnika upaństwowionejfabryki religijnej.

Rozważania te zaprowadziłyby mnie jednak zbyt daleko: zapytałbym się kapitalistów „Pressy“ dlaczego traktują nas, jak Murzynów i dają nam tylko łaskawe koncesje na „dodatki“ i „przystanki“ „literackie“ w swoich dziennikach. zamiast drukować nasze poezje między artykułem wstępnym i cedulą giełdową (poezja jako 5-te koło u wozu życia!) i czy jednak przypadkiem nie od nas, a nie od bankierów zależy pokój Europy.

Zapytałbym się również o wiele innych rzeczy, ale przecież chodzi mi tylko o zilustrowanie praktycznego inseraciku: Zdolni ajenci literacy poszukiwani.

¹⁾ Kwakier — od angiel. „to quake“ — drzeć.

Śmierć Porfiriona Osiełka.

(widowisko paroptyczne)

Jak wiadomo, wszystko się już stało, co się stało: Osiełek umarł i to śmiercią nie tyle bohaterką, co holenderską, to znaczy umarł w Holandji.

Było to tak:

Jeszcze niedawno, bo przed paroma dniami Porfirjon Osiełek był słodkim chłopcem, oddawał się swoim ulubionym umiejętnościom, kochał matkę, doskonałą panią. Osiełek, nosił swój zielony kapelusz i brał swoje dwie parówki do łóżka.

A dzisiaj co? Niema Osiełka i wszystko okazało się bujną i grandą.

Straszliwa jest Mojra i Laokoon.

Spróbujmy tedy z chłodnym obiektywizmem historyka kultury oddać piórem wiekopomnem ostatnie dni tego wiekopomnego człowieka.

Porfirjon miał wtedy trzy narzeczone i każda z nich nosiła imię będące rymem do imienia innej.

I wszystko było takie piękne, takie piękne!

Na tle pewnego renesansowego arcydzieła urządzali sobie pikniki poranne z serwetą rozłożoną na zielonej trawce, likierem i kalafiorami.

Doskonała pani Osiełek również była wzruszona.

Wieczorami przyjeżdżali pocięgi we frakach, ze szpadami i w limuzynach bez żon. A kiedy rozpoczynał się tak zwany Wielki Serkl w sali imienia Jarosława Iwaszkiewicza, pensjonarki dekoratywne kładły palec do ust i śpiewały przez nos: — O, se tre żoli! —

Król nigdy nie przyjeżdżał z powodu: kamienie żółciowe.

Akurat w przeddzień śmierci Osiełka orgja doszła do zenitu:

Książę Burberry wpadł na dziki pomysł karmienia łabędzi

numerami „Cyrulika Warszawskiego” i biedne musiały pływać po stawach, wyrzucając bolesne dowcipy. Książę Burberry śmiał się sardonicznie natomiast.

A na drugi dzień Osiełek umarł. Ach jak to było ładnie. leżał, taki cichutki, jak muszla i taki blady, jak kafel, z którego zdrapano scenę myśliwską.

Matka mówiła: „nie płacz”, Porfirjon: „właśnie, że będę”.

Przychodzili różni inkasenci, ale nic nie pomogło: Gasnął w oczach i ciągle myślał, jakiby tu wymyślić eschatologiczny aforyzm.

O 18.15 kazał się wynieść na balkon: Holandja leżała, jak kobieta z brązu i w żałobie. Po czarnych kanałach poruszały się ciężko łodzie ze srebra i niepokoju. Niejeden marynarz miał w oczach palmę i lwa.

Osiełek westchnął.

— Czy mam to zasejsmografować, Massa — zapytał sekretarz szef,

— Jeszcze nie, niech pan poczeka: może westchnę plastyczniej.

Godziny mijały jak koty, które się mijają w piwnicy.

Przed Osiełkiem stały jego 3 narzeczone:

*Jedna trzymała tyżeczkę,
druga „ serwetkę,
a trzecia czaszkę z kakao.*

— Gdybyś miał naprawdę umierać, to nam powiedz, westchnęła Dzenni, my wtedy pójdziemy na tenisa.

— Zrobione, odparł dumnie Osiełek.

Agonja zaczęła się według rozkładu: W tej samej chwili właśnie odpływał do Borneo parowiec tego parszywca Gomeyry.

I przyszli wszyscy sekretarze i szef kancelarji i wszystkie maszynistki i dyrektor drukarni i Bernard Shaw.

Osiełek stawał się coraz piękniejszy i coraz bardziej nieuchwytny.

Tak mówił: jeżeli się panom wydaje, że nie gwizdzą na własną śmierć, to panowie się mylicie śmierć, to panowie się mylicie grubo, grubjańsko i ordynarnie. Ja jestem filozofem i hellenem. Idźcie precz!

I wyszli wszyscy sekretarze i szef kancelarji i wszystkie maszynistki i dyrektor drukarni i Bernard Shaw.

A potem mówił już tylko do siebie i do słońca, które kochał jak swój najzłotszy dowcip. Błogosławieństwa rozdawał na prawo i lewo i zielone papugi na oślepiającym marmurze perystylu drżały, jak oceany Szellija.

Dobrze było, naprawdę dobrze, coby nie mówił ten borneański parszywiec Gomeyra.

Tymczasem doskonała pani Osiełek szlochała, jak maszyna. Porfirjon uspokajał:

— Nie płacz, wejdiesz razem ze mną do jednego rajy Feerji, gdzie Rębo, jak małpa wdrapuje się na swoje „kolumny alkoholu”.

I rozstrzaskał głowę doskonałej pani Osiełek tomem Ręboda.

Po tym wysiłku opadł na poduszki i ciężko dyszał; obmyślał coś i żałował czegoś serdecznie. Shaw twierdzi, że Osiełek miał wtedy łzy w oczach.

Może.

W każdym razie umarł ze słowami „Pan mój i Humbóg mój”.

Pogrzeb odbył się w nocy i z nieba, jak cegły spadali aniołowie.

Panią Heksenszus musiano cucić pięciokrotnie.

Wogóle to nawet było ładniej niż na pogrzebie Jan Pola.

I większy był niepokój policjantów.

„Kamień” Czechowicza.

Piękna, mocna książka, trochę minode-rji „futurystycznej” i troszeczkę, troszeczkę blagi. Ale nie tak dużo, aby swoim muslinem mogła przestłonić kamienny posąg prawdy. Naogół surrealistyczna faktura wiersza bez samogwałtu.

Duże, religijne zrozumienie, przebaczenie i zaparcie się współczesnego świata. Ma-

cie silne ręce, Czechowicz. Witamy Was w Kwadrydze!

P. S.

k. i. g.

Gdyby Panu się ta recenzja nie podobala, niech Pan idzie do Napierskiego. On ma genialne i wnikliwe recenzje na wagonny, tonny, franco, loco i gratis.

k. i. g.

Stanisław Ryszard Dobrowolski.

Żywa legenda.

Kiedy w roku 1915 (15 września) pisał krakowski „Czas” artykuł pośmiertny, poświęcony pamięci zgasłego podówczas (dn. 5 września 1915 r.) Stanisława Witkiewicza, to owa publikacja była nietylko wzorową autocharakterystyką wzmiankowanego dziennika — „Czas” precyzował w tak dziwny sposób na długie lata swoje zasadnicze wytyczne. Wyjątkowe bowiem niechlujstwo jest cechą owego czasopisma. Podnoszę to obecnie dlatego, ponieważ w związku z postacią Stanisława Witkiewicza dał nasz „Czas” właśnie ponowny wyraz niepoważnego, a raczej może nieuczciwego stosunku do poruszanej przez siebie sprawy. Niechlujstwem bowiem był artykuł o charakterze obszernej wzmianki — recenzji z książki prof. Kazimierza Kosińskiego o Stanisławie Witkiewiczu¹⁾ pióra niejakiego pana Kazimierza Czachowskiego zamieszczony w specjalnej rubryce „Sztuka i krytyka” w Nr. 169 Czasu z czwartku dn. 26 lipca 1928 r.

Po maleńkim wstępie w którym p. Cz. przypomina, że swego czasu „zwróciłem uwagę na doniosłą potrzebę monografji o znakomitym „budowniczym życia polskiego i wskazałem, że nad zadaniem tem pracuje Kazimierz Kosiński” — po zdawkowej pochwalce, jakiej udziela temuż Kazimierzowi Kosińskiemu za jego poprzednią książkę o Witkiewiczu²⁾ oraz szereg drobniejszych studjów stwierdza, że były one (to prawda) „pisane na marginesie badań do monografji, którą mamy przed sobą, ale w skład jej nie weszły” (czy tak?). Pomijając już ostatnie zdanie, zapytujemy skąd autor artykułu czerpał swoje przekonanie, że miał przed sobą monografję, skoro, jak sam to dalej zaznacza „w przedmowie do obszernego tomu uprzedza, prof. Kosiński, że nie jest to monografja wyczerpująca, lecz tylko „próba charakterystyki człowieka i myśli”. Chodziło więc, znaczy, w tej niekonsekwencji o punkt zaczepny. Jak na metody dziennikarskie, taka wydaje się dosyć wygodna. Możliwość w ten sposób w odpowiedzi zapytać, czem to szanowny Czas dopiero teraz w związku z pracami prof. Kosińskiego przypomniał sobie o roli Witkiewicza, jako wielkiego „budowniczego życia polskiego”, skoro nie wspominał nawet o tem po jego śmierci, a potem przejechać się po Czasie, że aż miło. Ale my tego nie czynimy wnioskując, że temu p. Czachowski nie winien, nie mogąc prawdopodobnie podówczas nic o Witkiewiczu wiedzieć. Ale teraz „mając na uwadze wyjątkową wzniosłość ideologii... w minionej dobie niewoli...” i t. d. przyznaje, że zakreślone zadanie przez autora pracy musi stanowić jeden z głównych rozdziałów książki o Witkiewiczu, wszakże stwierdza, że obecnie wydana „monografja” (znów !) „niewiele przynosi momentów nowych” w stosunku do poprzedniej pracy, zawdzięczając

swe rozszerzenie niemal wyłącznie uwzględnieniem wszystkich dzieł Witkiewicza, oraz, że się tak już wyrazimy, gruntownem „zalaniem” reszty wakującego w „obszernym tomie” miejsca streszczeniami, czy też przytaczaniem w cytatach lub dłuższych urywkach nieznanych jego pism, zwłaszcza z rękopisu p. t. „Życie, etyka i rewolucja”. To ostatnie „oczywiście” ma być częścią najciekawszą. Narazie się na tem zatrzymamy, zmuszeni z konieczności, pojętej wprost, jako uczciwość wobec autora książki i powagi sprawy oddać się z kolei wszystkim następnym zarzutom.

Rzeczywiście, jak słusznie prof. Kosiński we wstępie do swej książki zaznacza, nie jest ona monografją i być nią nie mogła. Nazbyt są to jeszcze sprawy świeże, nazbyt niedawno minione, nazbyt wiele materiału, zwłaszcza listowego jest niedostępnego dla najbardziej sumiennego badacza, aby można było mówić o pełnej monografji. Istnieją jeszcze kwestje, ze względu na swą wciąż żywą, z żyjącymi jeszcze osobami związaną aktualność nie dające się poruszyć. I to oświadczenie autora należało przyjąć, gdy mówi on, że ma to być „próba charakterystyki człowieka i myśli”, a nie żądać rzeczy narazie nieosiągalnej — owej „monografji”. Gdyby recenzent zechciał przyjąć, że jest to „jedyna monografja zagadnień związanych z Witkiewiczem, wiele następnych kwestyj przedstawiliby się zgoła w innym świetle.

A teraz, czy wydana monografja przynosi coś więcej od poprzedniej książki? Pomijając to, że poglądy społeczne, polityczne i religijno-moralne, kwestje, jak stosunek Witkiewicza do Legjonów znalazły tu należyte pogłębienie przez rozszerzenie zakresu badań oraz bardziej szczegółową analizę, poświęca autor część pracy zagadnieniom estetycznym — więc kwestjom, które w poprzedniej książce o człowieku i patriotcie były nieruszone. Ale tego udaje recenzent, że nie widzi. Gdyby choć przeczytał uważniej książkę, więcej niż rozdział pierwszy, nie stawałby w dalszym ciągu zarzutu pobieżności w biografji Witkiewicza. Bowiem, jak powiada życie Witkiewicza ujął prof. Kosiński prawie wyłącznie na podstawie książki o Gierymskim. Muszę tu nie bez śmiechu oświadczyć, że na podstawie tej uwagi możnaby bardzo łatwo ustalić na której stronie ukończył autor artykułu lekturę książki nie fatygując się rozciąć pozostałych kartek. Jest to bowiem o tyle słuszne, o ile odnosi się do okresu Monachijskiego, częściowo Warszawskiego Witkiewicza. Reszta — zdechł pies. Cały szereg danych od listów młodzieńczych Witkiewicza z Rosji (!), aż do Lowrany, skrzętnie wydobyte szczegóły, nieraz z niebywałym wysiłkiem, to bez znaczenia. Natomiast „światło większego zapasu materiałów” widzimy podobno w związku z procesem o Bagno. Pytamy — co, poza echem współczesnej prasy?

Pan Cz. nagli o zebranie materiałów pośród żyjących jeszcze współczesnych Witkiewiczowi. Niedotarcie do właściwych źródeł, traktuje jako niedbalstwo. A czem są wspomnienia p. Dembowskiej, p. Marji Witkiewiczówny w książce prof. Kosińskiego. To mało! — Prawda? A nuż pomną mili starszankowie płotący trzy po trzy, płaczący Witkiewicza z Gierymskim, albo Gersonem. I anegdutki djabli wezmą i jakąż „strawę duchową” po wielkich ludziach trawić będzie

¹⁾ Kazimierz Kosiński, „Stanisław Witkiewicz”. Wydane z zasiłkiem wyd. nauki ministerstwa W. R. i O. P. oraz miasta st. Warszawy, staraniem komitetu Witkiewiczowskiego w Warszawie. Warszawa, 1928 r. Skład główny. Biblioteka Polska str. 542.

²⁾ Tegoż autora „Stanisław Witkiewicz, człowiek i patriot”. Warszawa, Ignis 1924 r. str. 195.

głodny reporter. Bo w książce zasadnicze szczególności biograficzne, mogące należycie pogłębić istotną treść zagadnienia zostały, licząc się z trudnościami, o jakich już wspomniałem (bogactwo listów Witkiewicza do syna prawie wcale nie uwzględnione) z widocznym wysiłkiem ustalone. Z kolei niewydała się słuszna recenzentowi Czasu „metoda“, raczej, jak cudzysłowami to zaznacza brak metody, polegający na niewytrawieniu i niewyjałowieniu, zebranego jednak, materiału. Metoda w pracy prof. Kosińskiego wydaje się temu panu „zbiorem materiałów, poukładanych w pewnym porządku, w rozdziały“, nie wyzyskaniem materiałów porównawczych, krytycznie nieopracowanych, podanych „na surowo“. To świadczy tylko, że z pana Czachowskiego kiepski „metodyk“ i konserwatywny, — co się zapewne tłumaczy wpływem „Czasu“. Nie spostrzeżga, że to jest droga do uniknięcia subiektywizmu w pracy, wyrzeczenie się siebie na korzyść omawianej postaci. Mamy bowiem przykłady takiego usubiektywienia, jak Słowacki Kleina lub Słowacki Trietaka, czy też wytkoki myślowe podane sposobem Kallenbacha. Natomiast metoda p. Cz. polega prawie wyłącznie na ustalaniu, czego autor nie uwzględnił w należyтым stopniu, a co uwzględnił w stopniu nadnależyтым. Dziwi się on może, paco są w pracy uwzględnione poglądy estetyczne prof. Struvego, paco z niemi autor książki polemizuje, skoro są zwietrzałe i skoro z niemi dawno Witkiewicz właśnie już się rozprawił. A my z książki prof. Kosińskiego się dowiadujemy, że owa polemika, obok polemik z Tarnowskim i Morawskim były bardzo zasadniczymi punktami w rozwoju poglądów estetycznych Witkiewicza. Tyle recenzent wie. Ale nie wie dlaczego „Wędrowiec“ Witkiewicza był właściwie czemś epokowym, a pewnie dlatego, że w książce są cytowane listy Witkiewicza, w których on to sam entuzjastycznie wyjaśnia. Bezczelnością wprost jest zato podkreślenie, jakoby z książki miało wynikać, iż Witkiewiczowi chodziło o pomniejszenie Matejki, wtedy, gdy przez cały rozdział poświęcony zagadnieniu estetycznym, co krok powtarza się zaprzeczenie tego zarzutu, jaki stawiano Witkiewiczowi, a rozdział o roli sztuki w Polsce temu zagadnieniu jest niemal cały poświęcony.

Wreszcie spotykamy się z zarzutem nieoświetlenia współczesnych prądów w sztuce i estetyce europejskiej. W książce oczywiście można by znaleźć wyjaśnienie tej sprawy. Chodziło jej autorowi, jak w tym wypadku, tak i w całej pracy o ustalenie wpływu idei Witkiewiczowskich na gruncie polskim. To się wszędzie podkreśla. Zresztą, autor mógł, licząc na specjalny charakter pracy suponować u czytelnika znajomość tych spraw, nie podejrzewając wyjątku. Ostatnim zarzutem, któryby z równą bezwzględnością należało odeprzeć, to niepotraktowanie Witkiewicza, jako pisarza. Gdyby recenzent wcześniej dostrzegł zasadniczy mlecz pacierzowy pracy, znaczy to, o czym nawiasowo tylko wspomina, dorzucając w końcu swego elaboratu szereg uwag od siebie w kwestjach merytorycznych, t. j., że Witkiewicz wzniósł się postawą duchową do wyżyn Mickiewiczowskich. Gdyby zwrócił wcześniej uwagę, że to właśnie zagadnienie jest osią rozważań prof. Kosińskiego i gdyby, jako taką przyjął jego pracę, nie szukając gruszek na wierzbie; gdyby zechciał z tego fak-

tu wysnuć konsekwencje, na jakie nas, jest stać, ostatni zarzut i wiele pozostałych odpadłyby jednocześnie, nie znajdując żadnego usprawiedliwienia. Ale na to trzeba być czemś więcej niż reporterem od wiersza. Kwestja Witkiewicza jako pisarza, przy należytem potraktowaniu mogłaby być rzeczywiście ciekawa. Ale tu byłaby nie współmiernia. Byłaby w stosunku do żywej treści ideologicznej tej książki — ni przypiął, ni przyłatał. Znamy bowiem zresztą obowiązujące dziś historyków literatury metody w badaniu tych kwestyj. Recenzent też. Zatrzymałem się tu może zbyt długo nad odparowaniem szeregu nieuzasadnionych zarzutów, sądzę jednak, że sprawa na tem nie traci. Gdy materiał książki jest tak wielki, że recenzję jej mimo woli sprowadzać trzeba do ogólników ze względu na zakreślony rozmiar artykułu, sprawa na tem zyska. Zyska o tyle, że w chwili, gdy ideologia Witkiewicza może stać się punktem wyjścia w rozpaczliwych poszukiwaniach ideowych współczesnego, rozdartego między dwa zasadnicze nurty ideowe, pokolenia, gdy omawiana książka jest jedyną, utracenie fałszywych, dyskwalifikujących ją opinij umożliwia propagandę idei Witkiewiczowskich. Kiedy z jednej strony żłobi się nurt wielkiej pracy państwowo - twórczej, a z drugiej wciąż żywe są odgłosy walki wyzwoleńczej świata pracy i kiedy te niewspółmierne do dziś idee grożą zawsze natychmiastowem krótkim spięciem i niechybną katastrofą, może się stać Witkiewicz — człowiek obywatel, twórca wciąż żywą legendą twórczą, z której czerpać będzie współczesny człowiek materiał dla rozwoju przyszłej ideologii polskiej. Bo Witkiewicz i jako pisarz społeczny z całym swoim radykalizmem społecznym, którego tak ostrożnie dotyka prof. Kosiński i jako pisarz etyczny i jako twórca i wreszcie jako człowiek, który żył i czynił, jest nawskroś współczesnym, a jednocześnie wzorem człowieka przyszłego. Witkiewicz jest człowiekiem, który z tradycji polskiej potrafił wygrzebać to, co w niej było najwyższego i najpiękniejszego, od Modrzewskiego przez Mickiewicza, aż do współczesnego rewolucyjnego socjalizmu, ażeby z tego uczynić drogę dla twórczych poczynań przyszłych pokoleń na długie lata. Był to człowiek, który wyjątkowo pięknie umiał pogodzić wiecznie nurtujący głąb ludzką radykalizm duszy z wysokiem nastawieniem etyczno-moralnem, przepajając wszystko wielką miłością bliźniego. Najzawziętszych radykałów jednocześnie zadowolić może swoją postawą wobec współczesnego i jemu i nam życia, określając do niego stosunek w tych paru przytoczonych zdaniach:

„Z dzisiejszych ustrojów społecznych nie może zostać nic. Są to podle, smrodliwe, pełne ciemnych nor, w których się lęgnie zbrodnia, budy te — tak zwane gmachy społeczne. Z tem trzeba walczyć — z całą bezwzględnością, a wobec wszystkich ludzi stać na stanowisku najwyższej miłości.

„Ustrój społeczny, na który powinno się godzić, powinien iść dalej, niż marzenia socjalistów dzisiejszych.

O takim człowieku napisana jest książka prof. Kazimierza Kosińskiego i to dla nas w niej jest najistotniejsze. Reszta nas nie zasadniczo nie obchodzi, ale tego nigdy nie pojmie byle pismak z krakowskiego dziennika.

L a d a n s e m a c a b r e .

Wiotek wlecze się ulicą śliską od deszczu. Podnosi głowę i patrzy w niebo przez dziurawy parasol. Latarnie rozplywają się we mgle w rude kałuże. Woda ściekająca po placach i chlupiąca w butach nastraja go melancholijnie i odbiera wszelką inicjatywę.

Psiakrew z taką niedziela — myśli Wiotek i przeraża się, że już nic dzisiaj nie zdoła wykombinować.

Za szybami, w ciepłych oborach swych mieszkań siedzą ludzie uczciwi. Piją herbatę, ścielą łóżka, palą w piecach i nakręcają zegary na noc. Dranie! chrypi Wiotek, wyciągając pięść ku jakiejś zielonej szybie.

Zółty sztyl nad jej sklepem brzęczy pod kroplami deszczu cicho i przenikliwie.

Wiotek spuszcza pięść i czyta:

BRONISŁAWA SEREK.

Sklep spożywczy.

Tak, tak, tak, myślała Bronisława Serek. Zegar i serce też mówią: tak, pędząc krew przez żyły, czas przez pokój. Gdyby nie myśl o śmierci, człowiekby się na śmierć zamartwił tem życiem.

Po szybach spływa deszcz. Zmrok łagodnie faluje po pokoju, zatapiając kontury w zielonym kiślu wieczornym.

Klocia ziewa na otomanie, wciąż czegoś oczekując.

Najgorsza jest ta niedziela — mówi i przewraca się nawznak.

Pukanie do drzwi napełnia ją wirami przerażenia, rozkoszy i oczekiwania, chociaż zwykle jest to tylko sąsiadka, prosząca o pudełko zapalek, lub ćwierć kilo masła.

Bronisława natomiast wstaje z wolna i, nie starając się zgadnąć, kto puka, otwiera drzwi.

Dzień dobry... raczej dobry wieczór... moje uszanowanie — mówi Wiotek. Prędko wieszka kapelusza na kłamce, a parasol stawia w jakimś kącie i kieruje się ku drzwiom pokoju.

Czego pan sobie życzy? — pyta ostro Bronisława.

Wynająć mieszkanie, jeden pokój bez usług.

A więc omylił się pan. Mieszkanie do wynajęcia jest naprzeciwko.

Ach, więc przepraszam — mówi Wiotek i nie troszcząc się o uzgodnienie swych czynów, ze słowami wciska się do pokoju, rozciągając usta bez śladu uśmiechu.

Powieki jego ostro mrugają pod żółtą szcztoką światła. Kilkomna spojrzeniami obrzuca pokój, pragnąc znaleźć w czemś oparcie.

Klocia uszczęśliwiona z gościa, puszcza huczący strumień wody w imbryk, zapala gaz, przewraca po drodze jedno krzesło i z Adelą na ręku sadowi się naprzeciw Wiotka.

Bronisława nie mogąc się z nią po rozumieć, musi działać samotnie i postanowiwszy prosić kogoś o pomoc, przeciw temu złodziejowi, warjatowi, czy pijanemu, kieruje się ku drzwiom.

Głodny i zmarznięty Wiotek wie o wszystkim. Spotrząga niepewność kroków Bronisławy i płasające na dnie jej nieruchomych oczu światła.

Niech się pani nie trudzi — mówi uprzejmie Wiotek, przebijając ją możliwie najbardziej oczyma.

Proszę siadać. Proszę się teraz nie dziwić. Niemożliwe przestaje być nie możliwym, skoro się stało faktem — prawda? Siedzieć w oknie, patrzeć na u-

licę i myśleć w kółko: tak, tak, tak — jak zegar.

Ja drzemałam... poobiednia drzemka — mamle z godnością Bronisława.

Wiotek, starający się za wszelką cenę zyskać na czasie, jest oczarowany skutkiem swej przemowy.

To dobre. Dla zegara! — wykrzykuje, wbijając w nią po raz drugi oczy.

I naraz widzi, że słowa te, nabierają tu swoistego sensu, stają się oczekiwane i upragnione.

Jestem uratowany — myśli Wiotek i wyciąga się zuchwale na krzesło.

Klocia przysuwa się doń, opierając oba łokcie na stole. Adela wrywa się z jej objęciem i mrużąc, ociera się o jego twarz.

Bronisława desperacko macha rękami, napróżno szukając jakiejś brzytwy.

Wiotek sący powoli gorącą herbatę, poddaje się słodczy nasyconego zaduchu, jaki napełnia zwykle małe mieszkania i grzebie w swej walizce.

Mózg jego na nowo sprawny i wyo-częty, produkuje tymczasem zawrotną ilość planów dalszego postępowania.

Oczy objędzają ukradkiem przystrojone w pierścionki palce Serkowej, dostrzegają złoty zegarek na ręce Kloci i dostatni stos worków z mąką, czy kaszą.

Z pomiędzy dwu kołnierzyków, kilku krawatów i jednej pary podartych skarpetek, wyciąga zmiętą gazetę i podaje ją Bronisławie.

Dobry kawałek — mówi, stukając palcem w jakiś wiersz.

Klocia rzuca się na gazetę, a i Bronisława pozwala się wsączyć do swej świadomości łagodnemu łańcuchowi skojarzeń: — śmierć, miłość, czyjs wyjazd — kamieniem na serce, zielona burza, granatowe palce milczenia na krzyżącym gardle — Bronisława siedzi nieporuszona bardzo długo.

Wie pan — tego — to wcale niezłe — zajakuje się wstydliwie, stukając srebrym paluchem w gazetę.

Gość siedzi pod oknem, zapatrzony w zielone dno ulicy i pociąga denerwującą śpiczastym nosem. Usta jego składają się jak do gwizdania, lub smakowania czegoś słodkiego, potem rozciąga twarz bez śladu śmiechu.

Bronisława wpatruje się z natężeniem w jego wąskie plecy, w jasny plaster czaszki przyklejony na czarnej szybie, czekając na Słowo zachęty.

Lecz słowo takie się nie pojawia i Bronisława tonie z powrotem w morzu nieczulej codzienności.

A panna Klocia jakże to znalazła? I owszem, ale wolę powieści — żeby były podróże i piękne zdarzenia.

Wiotek uważnie przygląda się jej pociemniałym oczom, potem bierze ją za rękę. Klocia próbuje się wyrwać.

Złoty? — pyta Wiotek. Pewno po tatusiu, albo może na imieniny, czy nagrodę...

Na wzmiankę o „tatusiu“, usta Serkowej się zaciskają, a ręce jej opadają na stół.

Poraz trzeci spotyka nieruchomym spojrzeniem świecące w szparkach powiek oczu Wiotka, który sięga do pugilaresu, mówiąc: „mam tu jeszcze jeden wierszyk.

Bronisława cofa się, jak złapana mysz. Myśli jego stają się niemal namacalne i głucho dudnią pod sufitem.

Ernest Frank — „Śmierć w Szpitalu“ — czyta Serkowa. Więc to tego samego?

Mężczyznę cechuje zaborczość — oświadcza w pewnej chwili Wiotek, a potem nie chce pierwszy brać cukru, zapewniając wytwornie Klocię, że — elegancja przedewszystkiem.

Tymczasem Fipek powraca z kina, krzycząc już od progu, że jest głodny. Pożera kiełbasę z bułką i siada między Wiotkiem, a matką gdacząc:

— Wie pan, mama mi kupi aparat...

— Jaki aparat? pyta Wiotek.

— Aparat fotograficzny. Prawda mam-o? Niech mama powie, bo pan nie wierzy. Powiedz, że kupisz.

Serkowa w swej wytartej sukni, zdaje się szeleścić jedwabiami. Z płonącymi oczyma, obciążając kokietyrnie bluzkę stawia przed Wiotkiem nową szklanekę herbaty.

— Co kupię?

— Aparat.

— Jaki aparat?

— Aparat fotograficzny.

— On w ten sposób mamę sugestjonuje przy gościach — mówi Klocia, a Bronisława obawiając się, czy słowo sugestja nie jest nieprzyzwoite, szykuje obojętne nowe porcje, starając się temi niewinnymi środkami zapewnić sobie spokój.

— Czy to wyjdzie w książce pyta nieśmiało Wiotka.

— Tak zapewne; chodzi tylko o pieniądze... i patrzy jej uważnie w oczy.

— Oczy jej płoną i Wiotek szuka pod stołem jej nóg.

— Czego się pan kopie! wrzeszczy Fipek.

— Fipek — uspakaja go Serkowa, odrywając na chwilę od gościa swe wielkie oczy.

— Mogę być subjektem — naturalnie — oświadcza w końcu Wiotek, podczas gdy Serkowa składa starannie oba wiersze i chowa je do szafki.

Od tej chwili życie Wiotka nabiera pewnego sensu, aczkolwiek zostaje zamknięte w cztery ściany monotonnej pracy w sklepiku.

W niedzielę, gdy Serkowa z dziećmi szła do kościoła Wiotek gotował obiad. Po obiedzie zato czytał jej wiersze Franka z zapnumerowanej na jej zlecenie gazety i nie omieszkał nigdy chwalić autora, oraz ubolewać nad jego losem.

Więc pan go zna? Spytała prędko Serkowa.

Wiotek się zawahał, potem powiedział z wolna — nie.

Wydało mu się, że zmierzyla go podejrzliwym spojrzeniem i serce uderzyło mu zdwojoną ilość razy na sekundę.

Serkowa chowała wycinki i szła wraz z Wiotkiem do kina. Klocia była zazdrosna i gdy Wiotek kładł głowę na kołnierzu Serkowej, robiła pogardliwe miny.

Jednakże, mimo niespodziewanego pociągu do poezji, nie sprzeniewierzyła się Serkowa swej dotychczasowej lekturze — wypadków z „Czerwoniaka“.

Przy opisach szczególnie zuchwałych zbrodni, twarz jej pęczniała z rozkoszy.

Oh — wzdychała bez sensu — jakie to ludzie chodzą po świecie.

I nagle wrzeszczy: że ten sklep już jej kością w gardle!...

Czemuż to? franczy się Wiotek, nasiąkający beztroskiem ciepłem bijącym z pieca.

Ale Serkowa kurczy się, wsiąka w siebie, uśmiecha się wstydliwie i już nie chce o tem mówić. Bo to grzech...

Tak — mamle zadrasniję w swej

ambicji i nierozumiejący jej Wiotek — takie chryje, takie afery — to nic jeszcz. Tu trzeba silnych łap — i już. Ale szachrajstwo, ale małe, zręczne, proszę pani, podejście innego człowieka, ale przeciwstawienie tym łapom, tym pięściom — swego sprytu...

Serkowa się niecierpliwi. — Co mi tam — a zresztą — jestem przecież uczciwa kobieta.

I mruży oczy, jak zwykła, swojska krowa, nie chcąc o niczem słyszeć — Do czego to mnie pan doprowadza.

Jakto, do czego?

Ale Serkowa musi iść do kościoła, do spowiedzi, do sąsiadek, do sklepu. — Człowiekowi musi wystarczyć jego los, proszę pana.

Pewnej nocy, plaszcząc bosemi nogami po zimnej podłodze, przyszedł Wiotek do łóżka Serkowej i wcisnął się za parawan. Królowało tam w czarnej mazi nocy, w białej zaspie pościeli jej wielkie i splakane ciało.

Ścisnęła go za palce pulchną ręką, łkając: on pewnie nawet się nie domyśla, jakie jest życie...

Nic więcej nie umiała powiedzieć. — Co to ja miałam mówić. Już dawno się zbierałam, może pan ma jaką radę?

— Pan taki mądry — dodała tragicznie i poprosiła go o zażranie fajerki.

Co pani jest?

Coś mi, oh, w serce wlało, z tego zmartwienia.

Parząc palce o fajerki, marzył jednocześnie Wiotek z przerażenia na myśl o jej tajemniczym zmartwieniu.

I kżóto miał nieznać jej życia?

I cóż szczególnego pani widzi w tem życiu? — spytał wreszcie, oplatając ją zamrznietymi ramionami.

Nic, nic, nic, — zachlipała Serkowa.

Z ekstazy obudziło go zaspane pytanie Kłoci o godzinę.

Już czas znowu wstawać — szepcze Bronisława, patrząc w bielejące okno i wypycha Wiotka za parawan.

Nazajutrz, w dwa dni potem i w tydzień, zaczyna się to samo. Sprzedają we dwoje kaszę, musztardę i ser, oddzieleni kontuarem od świata tonącego w słońcu.

Kto niezna miłości, ten żyje szczęśliwy — nuci Wiotek i postanawia „przystąpić do rzeczy”. A może należało uczynić to już dawno. O drugiej, rumieniąc się znacząco, mówi Serkowa, że musi na chwilę wyjść.

Wiotek w ponurem milczeniu widzi, jak znikają w rudo-błękitnym oddaleniu jej szerokie plecy i wydaje za dużo, lub zamarło reszty.

Wkońcu woła Fipka i wychodzi również.

Psiakrew — powtarza bezmyślnie, wlokąc się spiekłemi ulicami.

Wychodząc z redakcji, spostrzeża Serkowa, przechadzającą się miarowo po przeciwnej stronie ulicy.

Czy płacił pan prenumeratę? — pyta go wstydliwie.

Tak jest — mówi, potniejąc Wiotek — a na co pani czeka?

Nie czekam. Wracam do domu.

Szła w przeciwną stronę. Nie szła, tylko przechadzała się, czekała — myśli Wiotek i zaciska pięści.

Gorąco — mruczy Serkowa. Pewnie Kłocia i Fipek dotąd bez obiadu. Rozumie pan — wyjechał w miesiąc po ślubie do Ameryki, a ja z temi dziećmi. — I nawet nie pisał.

Więc go pani kocha... pyta Wiotek.

Nie. Już nie — szepcze namiętnie Serkowa.

I potem nagle — ale jeżeli to jest kobieta?!

Kto? — przeraża się Wiotek, uszczęśliwiony jej wyznaniem.

Przed sklepikiem zapalono latarnię Żółty, blaszany szylde sześci o ścianę. Trzeba go jutro przybić. Wilgotny wiatr rozwiewa czarne włosy Serkowej i obłoki pod twardemi gwiazdami.

A wie pan — była taka chwila, że myślałam — takie to wszystko było dziwne — myślałam, że to pan jest Frankiem.

I patrzy mu prosto w oczy, dysząc prędko. Wiotek próbuje się uśmiechnąć, dusząc się swem sercem.

Nie — szepcze — nie jestem, ale —

Bo dlaczego pan wtedy przyszedł w nocy. — I miał pan te wiersze przy sobie. I tyle zawsze mówił, że poeci są

biedni, że nie mają za co wydawać swych książek.

I był pan taki dziwny.

A potem znów myślałem, że chcę mnie pan oszwabić, podszyc się pod tego poetę i uciec z pieniędzmi. Ale pan jest uczciwy człowiek — to widać odrazu.

Tak Bronisława. Jestem bardzo uczciwy. Nawet nigdy nie skalałem się myślą o czemś występem. Oszukiwać można, ale wtedy, gdy...

Tak — to przecie widać odrazu — powtarza bezmyślnie Serkowa.

Maszynka gazowa mruczy, jak kot domowy, łagodny kot. Kawa bulgocze w czerwonym rondelku, jak zawsze. Kłocia czesze się przed lustrem i znów wyłamuje ząb z grzebienia. Wiotek, podniecany zapachami i obrazami, których monotonia napędlia go poczuciem bezpieczeństwa, oświadcza się uroczysto o rękę Bronisławy.

Bronisława się cofa. Nie — syczy. Nie. Wolałabym złodzieja, oszusta, czy, żeby nawet był pan Frankiem (choć on jest piękny i wysoki), niż...

Więc tak, więc wolisz oszusta, więc ja się mogę przyznać — że chciałem naprawdę się podszyc pod Franka — że chciałem od ciebie wyludzić pieniądze — że potem spodobało mi się to życie i — ja cię już nie mogę oszukać, Bronisława.

Nie kłam, nie kłam — jesteś przecież uczciwym człowiekiem.

Będziecie tu mieszkać w sklepiu, będę ci obiad gotował co niedzieli, będę ci Franka czytał...

I poco pan kłamie? To przecież widać odrazu, kto jest zbój, albo żołnierz, albo poeta, a kto —

Ja mówię prawdę, Bronisława! — wrzeszczy Wiotek.

Odejdź pan — mruczy Bronisława i szykuje melancholijnie cztery zwykłe porcje kiełbasy.

Wiotek bierze parasol i wychodzi. Pada deszcz. Woda cieknie z rynien i z parasola. Jedna kropla wpada mu za kołnierz.

Nowe formy sztuki.

Wołamy o wielką sztukę społeczną, sztukę o jakiej marzył Norwid, jakiej gwałtownie domagał się Witkiewicz, jaką wreszcie mieć chcieli futuryści, rzucając jej brutalnie twarde hasło — na ulicę!

Powiadamy — dość bezpłodnego estetyzmu, dość namaszczonej wierszyków, których nikt nie czyta, dość eksperymentalnych powieści, które niczemu nie służą. Nalegamy — przestańcie malować obrazy dla Zachęty Sztuk Pięknych i salonów zubożonych noworyszów. Niech sztuka służy życiu, niech odgrywa taką rolę w łonie społeczeństw, jak miłość i nienawiść, jak wojna i pokój, jak kapitalizm i proletarijat — jak kościół.

I dlatego witamy z uznaniem każdy nowy krok w tym kie-

runku, jednoczymy się w miarę sił współpracą, czy myślą z każdą podjętą w tym celu inicjatywą. Znadto wiele jeszcze trzeba wysiłków poczynić dla przełamania przeszkód na naszej drodze, za wielkie jeszcze stoją przed nami ugory prac do podjęcia, abyśmy entuzjastycznie nie notowali każdego faktu, jaki tu zachodzi. Takim faktem społecznym w sztuce jest dla mnie głęboko mądra inicjatywa artystów prowadzących pracę nad restauracją Starego Miasta Warszawy. Plan przedsięwzięcia pomyslanego na dużą skalę, nie przereklamowany, ani okrzyczany realizuje się właśnie w dość szybkim tempie. Z pośród szarych i zaniedbanych wydobywa szlachetny wysiłek jasne płaszczyzny artystycznych polichomij, uwidaczniając całe piękno starożytnej architekto-

nikę. Nie jestem malarzem, ani plastykiem wogóle. Nie mają rzeczą będzie fachowa krytyka tych prac. Jednak pośród bujnie krzewiącej się u nas na polu artystycznym miernoty i snobizmu, sama konkretna inicjatywa tego rodzaju zasługuje na podniesienie, i wyróżnienie.

To jest utylitaryzm sztuki, jakiego żądał w Promethidionie Norwid, „ażeby od statuy pięknej do urny grobowej, do talerza, do szklanki pięknej, do kosza uplecionej pięknie, cała cyrkulacja idei piękna w czasie danym uwidomioną była.

Dlatego, za najwyższy zaszczyt uważałbym dla siebie uściskać w poczuciu braterstwa pracy szlachetne dłonie artystów stojących tak śmiało na murarskim rusztowaniu.

HYPERMAMBRENOCENTROVICEVERSAPTERODAKTYLOMANIOHIPOLITOAPUDANKYLOCHONDROMORFIZM

czyli rzecz o Karolu Irzykowskim.

U nas w Polsce sympatyczny poeta, za ledwie rozpoczynający swój pogodny spacer po radosnych, jak białe kliniki ulicach literatury, zawsze musi napotkać tego starego, zawiłego grzyba.

Widziałem go poraz pierwszy wczoraj imam dosyć: twarz ponurego dynamitarda i mimo wszelkie bajubaju nimbus maga nad głową i jeszcze wyżej.. Tutaj mała prośba do szanownych pp. wynalazców: jeżeli wymyślono „Flit“, niezawodnie idealny środek na mole i wogóle, to dlaczego nie możnaby wynaleźć opatentowanego środka na irzykowskich.

Postęp techniki — tuszę — zrobi swoje.

— Bo któż jest ten Irzykowski? — zapyta się szary czytelnik, chętnie czytający nawet Keyserlinga, lubiący wiersze i wogóle kulturalny, myślący, miły człowiek.

— Któż to jest? — zapyta się młody „iten! lectuel“ — poeta, którego nabujali, że bez rekolencji z Irzykowskim ani mowy, panie, o istotnie dogłębnem nastawieniu i appercepcji.

Ja sam nie wiem, nikt nie wie, nawet p. Irzykowski nie wie.

To lepiej; bo tak mamy chociaż wzruszający mit o samotności niezrozumiałej; a daję słowo, że pod skłębionym bluszczem mitu siedzi nagi, kosmaty hipochondryk.

W intelektualistycznym żołądku historii spotykamy od czasu do czasu takie „żółciowe kamienie“, jakby powiedział Hebbel, talmudyczny mistrz autora tajemniczej „Pałuby“.

Ci „wielcy“, „nieznani“, „niezrozumiałcy“ (słowo p. Irzykowskiego) przypominają pensjonarki, marzące Bóg wie o czym, chorych z urojenia i przedwojennych „nastrojowców“.

„Ogromny nieurzeczywistnień“ — jak dowcipnie powiedział p. Iwaszkiewicz.

Ci ludzie, praktycznie biorąc, mają jedyny talent: zasnuwania się nieprzenikliwą mgłą legendy. (W farsie codziennej mówi pesjonarka do starszego studenta, wydrwigrosza:

— Jaki pan przeraźliwie głęboki, panie Nonjuszul)

Jedyną przecie zasługą Irzykowskiego jest to, że ma ponure wejrzenie i sto książek, cenionych przez moją babcię dla wyborynych okładek.

Przykro mi, że demaskuję te rzeczy.

P. Irzykowskiego przyjęto do „Skamandra“ właśnie z powodu legendy. Było to w czasach, kiedy „Skamander“ potrzebował na gwałt reklamy.

Wzięli Irzykowskiego i mieli rację, bo niby „widzi pan, panie, młode poety i Irzykowski też chwali, a Irzykowski to, panie ho ho!“

Wogóle od czasu, kiedy na ziemi powstał t. zw. ruch umysłowy o irzykowskich mówi się „ho ho!“ i tajemniczo mruży lewe oko. Jest to jedyna możliwa recenzja o ich dziełach.

Autor „Pałuby“ jest oczywiście megaloma nem, ponurym, zawiłym megalomanem. (A pro pos „Pałuba“: wartoby przeprowadzić ankietę w „Kurjerku Warszawskim“, albo w „Wiadomościach“ p. t. „Kto nie czytał „Pałuby““).

Niedawne czasy, kiedy w recenzjach filmowych p. Irzykowski powtarzał z uporem monomana „patrz moja Dziesiąta Muza“: oczywiście nikt nie „patrzył“, bo cóż do djabła, mają wspólnego z kinem uwagi pana Irzykowskiego o „gerontofilji“ Jackie Coogan'a.

Wystarczy przewyciężyć narkozę Irzykowskiego, aby otwarcie wyznać, że pierwszy z bręga dziennikarz paryski napisze taką X-tą Muzę nie dziesięć, sto razy lepiej.

Zdemaskujmy zresztą, dlaczego p. Irzykowski nagle zajął się kinem. Bo kino jest jedną z najbardziej współczesnych religij.

Przedpotopowi Irzykowscy, mimo, że mieszkają w dziupli chcą być zawsze plus contemporain que Morand lui — même;

Tacy to już uparci staruszkowie.

O nie, panie Irzykowski, niech pan wraca do swojej dziupli. Bo ani naszego kina, ani naszej poezji, ani naszej Ameryki pan nie zrozumie. Smutne, ale prawdziwe. Niech pan wraca do swojej dziupli i Hebbła i Grillparzera.

Goethe jest zbyt prosty. Słońce świeci za bardzo.

Czy pan napisał kiedy dobrą, piękną nowelę?

Pan jest lunatyk.

A zresztą, może pan — jakiś pomniczek...

Wszyscy, wszyscy wejdziemy do Raju,

A na pomniczku będzie króciutki napis:

HYPERMAMBRENOCENTROVICEVERSAPTERODAKTYLOMANIOHIPOLITOAPUDANKYLOCHONDROMORFIZM.

W przekładzie na — niemiecki i hebrajski

Małe wiadomości literackie.

Dawno minęły te czasy, kiedy poeci zjeżdżali się w pismach. Była to epoka, w której Słonimski nosił wytarty tużurek, a Tuwim zarabiał zaledwie 2000. Dziś nasz milusiński mają już stosunki z wyższą arystokracją i zjeżdżają się w latyfundiach. Na jednym z takich kongresów naszej plutokracji poetyckiej został ufundowany cech poetów. A więc cudowna wizja przyszłości: poranek, Boże Ciało, pachnie mirrą i kordybanem, przez ulice Syryńskiego grodu płynię impo-nujący pochód. Sztandary. Sztandary!

Szewcy, krawcy, gazownicy, kwiat narodu, a skromnie w tyle, postępuje cech poetów. Błąd, wzruszony majster Antoni niesie chorągiew z napisem: „Precz z drażliwością Żydów“, a obok w cylindrach białych rękawiczkach Lechoń, Tuwim i pomniejsze ciury skamandrowe.

Balkony ubrane zielenią, Or-Ot, Rota etc.

„O Polsko dni minionych, o R.G.O.“!

*

Dowiadujemy się ze źródeł miarodajnych, że poeta Jerzy Liebert nabył z funduszy prywatnych rzewną kapliczkę w stylu rokoko; kędy oddaje się nieprzemijającym rozmyślaniom; funkcję dziadka kościelnego pełni tamże niejaki Rafał Blüth.

*

Znany hodowca rasowych poetów, p. M. G. posiada niewątpliwie tajną policję, która podsłuchuje i notuje wszystkie rozmowy, prowadzone na terenie znanej cukierni przy ul. Mazowieckiej.

Agentów swoich p. M. G. posiada również wśród p. podawczych.

Organ wiecznych korporantów „Myśl Narodowa“

od dłuższego czasu usiłuje na swoich łamach spreprować kilku poetów, którzy w przyszłości mogliby ewentualnie zostać mężami zaufania Obwiepołu.

Na szefa nowej szkoły poetyckiej desygnowany jest znany poeta refleksyjny, p. Roman Dmowski.

*

Pewien znany z dowcipu i dużych dochodów cyrulik warszawski polecił wystawić sobie na cmentarzu Montmartre w niejakiej odległości od dawnego grobu Słowackiego skromny pomniczek w alegorycznym kształcie biblijnej wieży narodów. Na marmurowej tabliczce ozdobionej wdzięcznym wieńcem i smutnymi cherubinami widnieje charakterystyczny napis: „Nie z soli attyckiej, nie z soli ziemiańskiej, ale z tego co boli, czyli z z Zabłudowa. „Błysnomiskisio.“.

Ostatni wyraz, ze względu na zagadkowość brzmienia wzbudził w Paryżu zrozumiałą sensację i wpłynął rzekomo decydująco na podpisanie paktu Kelloga.

*

Juljusz Kaden Bandr. ma wydawać dodatek droży-

zniano - literacki p. t. „Najmłodszy“.

Korekta i sonety zostały powierzone prof. Rafałowi Blüthowi. Salve, illustrissima papa!

*

„Palfilm“ kręci „Rodzinę Połanieckich“ ze współdziałaniem 30 milionów statystów. W roli szatana Rafał Blüth

*

Europa stoi nad przepaścią. Ilja Erenburg (współprac. Kwadrygi — przyp. red.) Iljada współczesności. Co na to Erenberg? Może Erenberg jest Erenburgiem? Może Erenburg Erenbergiem? W czasach, kiedy lrzka trudno odróżnić od Julka, jak się upewnić, że Gałczyńskiego nie jest Nowaczyńskim!

Módlcie się do Rafała Blütha.

*

Znany piosenkarz Ola Swensen pisze oratorium pt. „Wolberkowa“. Mój Boże, jak ten czas leci!

*

Nowa książka Stanisława Marji Wiktorji Colony lzydora Salińskiego nazywać się będzie: „Jak doszedłem do 800 garniturów. Bilans pracy literackiej za rok 28“.

OD REDAKCJI.

Po pewnych zmianach w składzie grupy Kwadrygi — pismo nasze, w zmienionym formacie, ukazywać się będzie, jako miesięcznik.

Do grupy Kwadrygi zgłosił przystąpienie znakomity nowelista, i najszczerzy poeta Saliński.

Jednocześnie zawiadamiamy, iż pp. W. Wernic i A. Maliszewski przestali należeć do grupy poetyckiej Kwadrygi.

Nakład i własność „Les poètes de Chevrolette“.

*

Przed paroma dniami został aresztowany i osadzony w słynnych „Ołowiankach“ pewien korporant, który po krótszych badaniach okazał się oczywiście Tuwimem. Iuwima oskarżają o zaszytowanie dogressy i o współdziałanie z księżyccem. O panowie, nad przepaścią stoimy: wszystkie korporanty to, psiamać, Tuwimy.

*

Nie jest wykluczone, że w najbliższym czasie zasłużony wydawca p. S. przyczyni się do stworzenia nowej epoki w literaturze, odpowiadającej (na pewne zapytanie) starej Epoce w polityce. W związku z tem krąży powiedzenie, któremu nie możemy nieodmówić dowcipu: „że jeżeli nie wszystkie drogi prowadzą do celu, — są za to cele, które prowadzą do Drogi.“ Ze względów dyskrecjonalnych zdekonspirowanie nazwiska p. S. jest w danym razie jeszcze nieaktualne.

*

Jak nam donoszą w drodze tajnie dyplomatycznej, pewien redaktor poczytnego tygodnika literackiego za pośrednictwem zaufanych drabantów i przepkupionych tancmistrzów rozpusza wieści, jakoby znana poetka i bluznierczyni Nina Rydzewska urodziła się w ghetto praskim, a jej prawdziwe nazwisko rodowe brzmiało Rycendler.

Dementując powyższe tendencyjnie rozsiewane pogłoski, kłaniamy się panom S. i wysyłamy kwiaty Rafałowi Blüthowi.

*

Autor popularnych „Miaścetek“ Tadeusz Zajączkowski zmienił nazwisko na Haffenfus.

Redakcja „Kwadrygi“ wysłała swemu znakomitemu Koledze wyrazy głębokiego współczucia.

Bajeczka o Julianie Tuwimie.

Moje dzieci: za górami, za lasami mieszkał domem była góra ze szkieł różnokolorowych i tam Tuwim myślał głęboko. Dziwny to był czarownik szare, biedne słowa, któremi mówią mali, ludzie, była jego potęga. A kiedy miał dosyć i zwierząt, przemieniał w nowiuteńkie dolary.

Wicie wszak, moje dzieci, co to są dolary, a jak nie, to spytajcie swego dobrego, słodkiego tatusia. Z biegiem czasu, kiedy ptaki krążące nad kolorowym domkiem osiwiwały, Julian Tuwim robił się coraz smutniejszy.

I coraz mniej było księżyców, coraz więcej dolarów.

A kiedy mu się wszystko znudziło, stłukł telefon i łazienkę, kupił sobie za \$ 25 katarynkę i, pokazując język, zaczął wygrywać na niej rzewnie Tirli-tirli:

Tirli, tirli, Julianie,
może coś pozostanie.

Odowiedzi Redakcji

J. Szcz. — *Chelm Lubelski*. — Przeczytawszy powtórnie wiersze — musimy potwierdzić nasz poprzedni sąd. Wiersze nie nadają się jeszcze do druku, jednak wydaje się nam, że ma Pan talent. Prosimy o dalsze próby.

L. Lewin. — Moda na rymowane kroniki umarła

kilkaset lat temu, zaś aby ją wskrzesić — trzeba być genjuszem. W koszu.

J. Gol. — Utwory przysłane, nawet z najpobliższego punktu widzenia nie są poezją. Radzimy stanowczo zarzucić wszelkie myśli o pisaniu wierszy co najmniej na pięć lat.

Errata

W rozmowie z Tadeuszem Peiperem, opublikowanej w numerze poprzednim, należy sprostować następujące błędy drukarskie:

Szpalta	wiersz	zamiast	ma być:
1	46	<i>dla ich potrzeb</i>	<i>dla potrzeb</i>
2	31	<i>artystycznej</i>	<i>aforystycznej</i>
3	7	<i>wchodzi</i>	<i>uchodzi</i>
3	20	<i>forme</i>	<i>formy</i>
4	22	<i>ograniczonych</i>	<i>organicznych</i>

Książki nadesłane

Leon Kruczkowski — *MŁOTY NAD ŚWIATEM*, Kraków 1928 r. Skład Główny — Dom Książki Polskiej S. A. Warszawa, str. 37 + 2 Niel.

Kazimierz Andrzej Jaworski — *NA GRANITOWYM MASZCIE*, Skład Główny — Dom Książki Polskiej — Warszawa, 1928 — str. 36.

Tadeusz Horzelski i Marjan Wróbel — *KWADRATY* — Warszawa, 1928 r. — Skład gł. w księgarni I. Lisowskiej; str. 41 + 2 Niel.

Stanisław Miłaszewski — *FARYS* — komedia romantyczna w 7 odsłonach, Nakł. Gebethnera i Wolffa — str. 178 + 2 Niel.

Antoni Marczyński — *ŚWIAT W PŁOMIENIACH* — powieść z niedalekiej przyszłości, Warszawa — 1928 r. — Tow. Wyd. „Rój” — str. 308 + 1 Niel.

Tadeusz Debicki — *MOIENZI NZADI* — u wrót Konga, nakł. Gebethnera i Wolffa — z 10 ilustr. K. Mackiewicza str. 123;

Jerzy Hulewicz — *DZIEJE UTANA* — Warszawa—1923 r. — Nakł. ks. F. Hoesicka — str. 247;

Stefan Krzywoszewski — *TEATR* — Warszawa — 1928 — nakł. ks. F. Hoesicka — str. 393 + 4 Niel.

M. Kuncewiczowa — *TWARZ MĘŻCZYZNY* — powieść, Wyd. J. Mortkowicza — 1928 — str. 159 + 1 Niel.

Andrzej Strug — *FORTUNA KASJERA SPEWANKIEWICZA* — powieść, wyd. J. Mortkowicza — Warszawa 1928 — str. 276 + 1 Niel.

Henryk Duvernois — *SERCE NA UWIEZI* („Crapotte”) przełożył Wacław Rogowicz, nakł. W. Jakornickiego—Warszawa, str. 267.

Leo Belmont — *PRZEZNACZENIE* — powieść filmowa, Warszawa — 1928 — „Rój” — str. 320.

Mieczysław Ziębowski — *LWY* — Skł. Gł. w Domu Książki Polskiej — str. 64.

Adam Szczerbowski — *KWIAT NA MOGILE* — Warszawa — Skład Gł.: Dom Książki Polskiej — str. 39.

Kazimierz Wroczyński — *SAMOLOT* — poezje, nakł. księg. F. Hoesicka — Warszawa — 1928 — str. 127+4 Niel.

Janina Helm - Pirgo — *KOLOROWA SONATA*, ks. F. Hoesicka — Warszawa — 1928 — str. 54 + 4 Niel.

Józef Birkenmajer — *ULICA I DROGA* — n. ks. F. Hoesicka — Warszawa — 1928 — str. 61 + 3 Niel.

Rafał Malczewski — *NARKOTYK GÓR* — nowele, Nakł. Geb. i W. — str. 182 + 1 Niel.

Wacław Rogowicz — *HISTORJE DO NICZEGO NIEPODOBNE* — Warszawa — 1928 r. — nakł. druk. „Rola”, J. Burjana str. 108 + 1 n.

KSIĘGARNIA
F. HOESICKA
w WARSZAWIE

BIBLIOTEKA POETYCKA

Wkrótce ukażą się z druku;

Słonimski Antoni.

Wiersze zebrane

Z portretem autora

Wierzyński Kazimierz.

Wiersze zebrane

Z portretem autora

Poprzednio ukazało się:

Tuwim Juljan.

Wiersze zebrane

Str. 384. Z portretem autora 1928.

CENA zł. 13

NAKLAD
AKADEMICKIEGO

KOŁA HRUBIESZOWIAN

STANISŁAW CIESIELCZUK

Wieś pod księżycem

(poezje)

400 ✓
1/3/2883

re

